POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 20–27-go grudnia 1941r.*** **Rok III. Nr. 51-52**

TRZECIA WIGILIA

CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZYJACIOŁOM, GDZIEKOLWIEK SĄ, WIERZĄ, TRWAJĄ I WALCZĄ—REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" PRZESYŁA NAJLEPSZE, NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.



Gdy przed dwu laty, w coëtquidańskim baraku pisałem artykuł świąteczny do "Polski Walczącej"—mróz wrzynał się ostrymi cięciami między rozluźnione deski ścian. Gdy dziś piszę, na okno napiera angielska mgła ruda jak rdza, żrąca serce jak rdza. Pośrodku, między bretońską przystanią, w której lądowaliśmy ze straszliwego rozbicia a kołysaliśmy w piersiach jeszcze tyle ufnych złudzeń, między tamtym obozem a tą wyspą, żeglującą spokojnie przez poruszone odmęty—leżą dwa lata, długie, jak wieki. Są dwie wigilie. Rozpościera się rosnący wciąż przestwór osamotnienia, tęsknoty i niecierpliwości. Trwa próba polska, której początek zna każdy z nas, pamięta i nie zapomni do śmierci, ale o końcu jej wie tylko jeden Bóg na wzburzonym niebie.

Trzecia wigilia nie będzie jeszcze świętem rozjaśnionym od światła pokoju i wolności. Ani ona, ani żadna aż do dnia niewiadomego z twarzy i z imienia. Będzie cięższa, boleśniejsza od poprzedniej. Od każdej z nich pomnożyła się i pomnaża bezustannie niedola polska, choć wtedy, gdyśmy się łamali opłatkiem na obczyźnie po raz pierwszy, wydawało się nam, że już nic gorszego się nie stanie i stać się nie może. A stało się i staje się.

Staje się nie tylko poza nami, ale i w nas. Wstępuje w górę łuna na niebie świata, bo płoną już wszystkie kontynenty. Mnożą się mogiły polskie na wszystkich ziemiach, zapomnianych od ludzi, ale pamiętanych przez Boga. Rośnie rachunek zatraty naszego wspólnego dorobku. Nie tylko to. Są wśród nas znużeni, tacy, w których zamiera pamięć, ludzie małej i złej wiary, przekupcy i pochlebcy, mąciciele i "opozycjoniści" dla samej radości przeczenia. Trzeszczą w nas przęsła, wiązadła, sprzęgi wspólnoty polskiej.

Właśnie o niej—o wspólnocie polskiej—trzeba nam pamiętać w ten wieczór czuły, otwierający serca na znak pamiętny z dzieciństwa, wieczór najpowszechniejszego polskiego sprzysiężenia. Gdy siądziemy do naszych żołnierskich stołów wigilijnych, gdy po wigiliach będziemy wspominać i wybiegać w nieprzeniknioną noc przyszłości, gdy jeszcze dłużej będziemy potem myśleć samotnie—musi być w nas obecna właśnie ta prawda o wspólnocie polskiej.

W kraju wolnym urzeczywistniała się ona w sposób prosty i aż niepojęty teraz: od domu do domu, od rodziny do rodziny. Wspólnota była dana w ziemi własnej i we własnym niebie nad ziemią, słodkim jak muzyka. Na tej ziemi, pod tym niebem Polska była w ten wieczór, jak jeden dom i jedna rodzina. Nie mamy dziś domów, większość z nas. prawie wszyscy, nie mamy rodzin. Wspólnota polska musi tego wieczoru rodzić się z świadomego aktu woli, z odpowiedzialności przed sumieniem własnym i sumieniem zbiorowym, z samowiedzy polskiego cierpienia i groźby, która nad wszystkim, co polskie zawisła.

Sądźmy się sprawiedliwie tego wieczoru. I mówmy odważnie. I nazywajmy wszystko po imieniu, jakkolwiek było by bolesne i zawstydzające. Że gubimy poczucie wspólnoty i jej nakazów na długich stajaniach tułaczego życia. Że przesadzamy miarę i ważność takich czy innych spraw swoich: osobistych, zawodowych, światopoglądowych wobec miary najwyższej, to jest miary polskiej, którą mierzy się niedola nas wszystkich i zasługa nas wszystkich. Że zatracamy pamięć tego, co jest pierwsze i jedynie ważne: zdjąć niedolę z każdego z nas, uchylić ją od pokolenia naszych dzieci i od pokolenia ich dzieci. Że pozwalamy rozbijać bezkarnie jedność naszych żołnierskich szeregów. Że mają między nami posłuch ci, którzy służą nie sprawie, nie ojczyźnie, ale sobie i swoim nikczemnym ambicjom.

Rozważmy w ten wieczór, jak werset z Pisma, jak lekcję Dziejów Męstwa i Męczeństwa Polskiego ten ustęp z tajnej gazety, którą drukuje się pod ziemią i czyta się pod ziemią, której każda litera kosztuje krew człowieka:

"*Jedność narodowa, skupiająca wszystkie moralne i materialne siły narodu do walki z wrogiem jest nakazem dzisiejszych dni. Istnienie stronnictw politycznych nie jest sprzeczne z postulatem jedności narodowej. Ale ich zdolność do wzajemnej ze sobą współpracy, zdolność do "zawieszenia broni" na terenie wewnętrznym celem skupienia wszystkich sił do walki na froncie zewnętrznym oto praktyczne sposoby wyrażenia jedności narodowej społeczeństwa demokratycznego.*"

Życzmy sobie wzajemnie przy stołach wigilijnych, aby nas wiązała—mocniej i ściślej, niż w tej chwili, co raz mocniej i co raz ściślej—jedność w idei walki, w woli, w gotowości, w podporządkowaniu walce wszystkiego, co jest każdego z nas i nas wszystkich.

Ale ten Wieczór Polski stawia przed nami nie tylko nakazy. Jest w nim mistyczna łaska, mistyczna pomoc—dla wszystkich, których kolęda nazywa "ludźmi dobrej woli." Nastawmy serca pod wiatr, rozpuśćmy wyobraźnię, abyśmy pojęli, odczuli, zobaczyli oczyma duszy, że ten akt zjednoczenia w duchu dokonywa się wszędzie, gdziekolwiek są Polacy i pali się pamięć polska, gdzie się gnie, a nie łamie pod uciskiem losu wola polska: w obozach koncentracyjnych i jenieckich, w obozach internowania, w tym obozie straszliwej biblijnej niewoli, jaki stanowi Kraj, na lodowych przestrzeniach Rosji, w Pustyni Zachodniej, w Ameryce, na wszystkich kontynentach świata.

Bądźmy w tę wigilię z tymi, którzy walczą, którzy cierpią na ziemi, jak w piekle, którzy trwają, którzy wierzą, którzy umierają od mąk, od głodu i zimna. Bądźmy z tymi, którzy umarli za rzecz wspólną, swoją, moją, waszą i naszą. Pochwyćmy ten prąd tęskmoty, tkliwości polskiej, obiegający glob ziemski, gdy wśród nieba w płomieniach błyśnie pierwsza gwiazda i pożar, którym płonie świat—jej nie zgasi. Bo to jest wzniosłość, bo to jest siła, na którą nie ma sposobu żadna przemoc tego świata.

Wybrani z pośród wszystkich Polaków, z pośród wszystkich najszczęśliwsi—wolni i zbrojni, służący pod znakami wolności—zewrzyjmy się przy wigilijnej wieczerzy ze sobą i wejdźmy w komunię jedności ze wszystkimi, którzy cierpią i w nas widzą swoją nadzieję zbawienia. Abyśmy byli godni przełamać się opłatkiem w domu swoim, pod gwiazdą na niebie, z którego pożar spłynie w czeluści piekła, aby nie wrócić.

"*Ktokolwiek*—brzmi inny werset prasy tajnej—*uważa się za Polaka i chce chodzić w przyszłej Polsce z podniesionym czołem, musi dziś brać bezpośredni udział w walce z okupacją. Nie ma miejsca na jakiekolwiek kompromisy.*"

Ktokolwiek uważa się za Polaka i chce chodzić w przyszłej Polsce z podniesionym czołem nie może wyżej stawiać sprawy własnej, prywatnej, partyjnej, ambicyjnej, ani żadnej innej nad tę, która jest wspólna. Nie ma miejsca wśród nas na kogokolwiek, kto robi inaczej.

Ani w ten wieczór Trzeciej Wigilii, ani w żaden z tych dni, które nas odgradzają od Pierwszej Wigilii w Wolnej Polsce.

Tymon Terlecki



Hej, kolęda, kolęda,
Nieśpiewana, niegrana,
Nadziejami pijana
A miłością paląca,
A wysiłkiem olbrzymia,
A tęsknotą krwawiąca.
Kolęda!

Polskie niebo z gwiazdami
A na niebie anioły . . .
Pruski szpicel pod drzwiami,
Izba mroczna i pusta,
Zimny piec i stół goły,
List z daleka przy ustach . . .
Hej, kolęda, kolęda . . .

W tysiąckonnym pojeździe
Pędzi pilot ku gwieździe.
Roześmiane ma oczy
A pęd taki—że mroczy.
Słyszcie święci w niebiesiech,
Jaki wicher go niesie!
Hej, kolęda, kolęda!

Drut kolczasty za progiem,
Ślepia katów złowrogie.
A w baraku, za pryczą,
Szeptem sobie dziś życzą
Widma ludzi półnagie.
Kriegsgefangenenlager.
Hej, kolęda, kolęda . . .

Po spienionych wybojach
Suną nasi w konwojach.
Śpiewa morze sztormami
Pieśń o sławie "Orłowej."
Pod sinymi falami
Orły lęgną się nowe.
Hej, kolęda, kolęda.

Na szwajcarskich przełęczach
Świt się blado roztęcza.
A w dolinach—jak wizja
Męstwa, co się nie podli,
Grenadierska dywizja
O broń nową się modli.
Hej, kolęda, kolęda . . .

Od warszawskich ogrodów,
Od pól Francji, ze Wschodu,
Od Narwiku z Północy
Do szkockiego wybrzeża
Sława falą się toczy,
Śladem marszu żołnierza.
Hej, kolęda, kolęda.

Kolędują pociski
Na pustyni libijskiej.
Student z Wilna . . . chłop
z Czerska . . .
Szuka drogi ku Wiśle
Polska stopa żołnierska.
Hej, kolęda, kolęda . . .

Idzie Wołgą w dół biegu
Bosy Jezus po śniegu.
Wypędzony z kołchozu
Przez dońskiego kozaka,
Wszedł do naszych obozów
I po polsku zapłakał . . .
Hej, kolęda, kolęda . . .

Jęki ofiar, świst bata
Za Atlantyk dolata.
Otwierają już kiesy
Hojne, polskie yankesy.
Oby wyszły z uśpienia
Ich żołnierskie sumienia!
Hej, kolęda, kolęda . . .

Hej, kolęda, kolęda,
Nieśpiewana, niegrana,
Nadziejami pijana
A miłością paląca,
A wysiłkiem olbrzymia,
A tęsknotą krwawiąca.
Hej, kolęda pielgrzymia.
Kolęda!

Adam Kowalski



Zdobił Stefan Osiecki

Wigilia w więzieniu Gestapo

Była to wigilia Bożego Narodzenia. Dzień wstawał szary, podobny do innych, w niczym nie przypominający tak oczekiwanego zawsze święta i tych przygotowań, jakie w dniu tym widywało się zwykle w naszych domach. Dzień wstawał wolno, ospale, zdawało się że ponuro. Mróz większy, niż zwykle odcisnął tylko na brudnych szybach swe wzorzyste znaki. Za nimi był świat szeroki, gdzie niegdzie tylko pokryty grubymi warstwami śniegu, świat piękny w krasie, a taki smutny u nas w Polsce po wrześniu, świat dalekich horyzontów i wielkich nadziei, świat utajonych pragnień, skrytych myśli—świat wolny. . . .

Za oknem, które rozpoczynało się gdzieś na wysokości głowy a kończyło się pod sufitem, było niewielkie podwórko otoczone grubym murem wysokości około 2, może 3 metrów. Wieńczyło go przemyślne obramowanie drutów kolczastych. Żeby wyjrzeć przez to okno, trzeba było podstawiać stołek,—za mur wyjrzeć nie było można.

Pomieszczenie niewielkie miało może wymiary 2,5 m. na 4 m. Stały tu dwa łóżka, stół na krzyżakach, jedna ławka i coś, co przypominało konewkę z wodą. W rogu, na prawo od drzwi stał piec żelazny, którego drzwiczki były na korytarzu. Palono w rogu może raz na dwie doby, pomimo że zima nasza nie zaliczała się nigdy do najłaskawszych. Takie było umeblowanie, resztę wypełniało prawie bez reszty sześciu mieszkańców, i części ich garderoby.

Ściany były brudne, tu i ówdzie upiększone obrazkami wątpliwych artystów, którzy zamieszkiwali te ściany może nie tak dawno. Nie można było mieć wątpliwości, że liczyli się oni do tych, dla których wrzesień stał się wyzwoleniem. Większość tych obrazków wyobrażała jakieś akty, lub była wprost przeglądem anatomicznym pewnych narządów ludzkich. Rysunki te były bezpretensjonalne, niekiedy zdradzające może pewne zdolności, przystępne dla ludzi bez przygotowania artystycznego, wykonane czasem starannie, ale rzadko ołówkiem, przeważnie zaś węglem lub czymś co było twardsze od ściany. Takie to były upiększenia tych ścian, które może widziały wiele, ale miały zobaczyć znacznie więcej.

Dla pełnego obrazu, jaki czytelnik mieć powinien, muszę jeszcze powiedzieć, że były tam jedne drzwi okute z obu stron blachą, które nie posiadały klamki od wewnątrz, a wzamian, jakby za tę ułomność, nagrodzone były maleńkim okienkiem, zamykanym również z zewnątrz, które w myśl tradycji " szarych domów " nazywało się judaszem. O podłodze i suficie można nie wspominać zupełnie, gdyż były jednakowo brudne i nie przedstawiały żadnych szczegółów godnych uwagi. Wrócę zato do okna i powiem krótko, że miało ono kraty od zewnątrz, jak wszystko w tym domu.

Tak wyglądała cela N.8 więzienia dawniej karno-śledczego w Sanoku, a obecnie zamienionego na więzienie Gestapo. Dzień upływał monotonnie. A więc poranna garderoba, która ograniczała się do przetarcia twarzy odrobiną wody, której trzeba było bardzo oszczędzać, bo musiało jej starczyć na cały dzień do picia, mycia menażek i.t.d., potem ranna kawa z chlebem. Należy tutaj tylko dodać, że kawy było zaledwie 3/4 szklanki, a chleba może 50 gramów na cały dzień. Obiad składał się z jednego dania, a była to zupa dawana gdzieś koło godz. 3 pop. w tej samej ilości co kawa, bo nawet tą samą łyżką rozdzielana. To samo dotyczyło kolacji, którą stanowiła jakaś t.zw. *wasser-zupka;* przypominała ona wodę, w której gotowano kartofle, lecz ich obecności stwierdzić było niepodobna.

Jedyną rozrywką były szachy z chleba, które powstały dzięki wynalazczości jednego z współtowarzyszy niedoli. Była to naprawdę wielka ofiara, gdyż głód doskwierał nam strasznie.

Z kolei przejdę do osób. Było nas sześciu stłoczonych w celi, która przeznaczona była dla dwóch; a więc dwóch lekarzy wojskowych, kowal z pod Sanoka, kadet ze Lwowa i nas dwóch. My byliśmy stosunkowo najmłodsi stage'm, bo trafiliśmy tu 10 grudnia, przewiezieni z Komańczy, koło której złapał nas patrol niemiecki. Największą troską naszą w tych nowych warunkach było ukrycie paru złotych drobiazgów, które mogły się stać zawsze kapitałem potrzebnym na nową podróż do granicy. Poza tym chcieliśmy zachować odznaki S. P. R. K. Przedmioty te należało chować, bo każda rewizja pozbawiłaby ich nas napewno. Toteż schowki były różne, musiały się jednak mieścić w naszych osobistych rzeczach, bo przeniesienie do innej celi było zawsze możliwe, a wtedy nie było czasu na żadne manipulacje.

Po t.zw. śniadaniu czas się dłużył w nieskończoność i głód dokuczał straszliwie. O paleniu nie było mowy zupełnie. Chcę tu jeszcze dodać, że więźniowie dzielili się tutaj na dwie grupy: politycznych i kryminalnych. Różnica była taka, że polityczni w przeciwstawieniu do kryminalnych nie mogli być w nic zaopatrywani z zewnątrz. Okno było pojedyncze i nieszczelne. Chłód panował tu taki, że woda zamarzała w naszej pseudo-konewce i wkładało się na siebie wszystko, co tylko było można.

W takich to warunkach o godzinie pierwszej popołudniu otwarły się z trzaskiem drzwi i dosłownie wpadło do celi sześciu gestapowców, za którymi wtoczyła się kreatura z odznakami kapitana Gestapo. Wszyscy mieli pistolety parabellum gotowe do strzału. Cały ten manewr wyglądał, jak zdobywanie szturmem okopów, a nie inspekcja czy też rewizja. Rozkaz brzmiał: rozbierać się.

Tymczasem na korytarzu panował jakiś niecodzienny ruch, wszędzie Gestapo najrozmaiciej uzbrojone; nie brakło także karabinu maszynowego, ustawionego na końcu jednego z korytarzy. Co kilka minut przeprowadzano przez korytarz kogoś z innych cel.

Nie mieliśmy czasu na rozmyślania, w kilka chwil później, gdy wszyscy byli w strojach adamowych, wyprowadzono nas na korytarz, gdzie panowało jeszcze większe zimno, z powodu wybitych szyb, no i kamiennej podłogi. Dla kontrastu muszę zaznaczyć, że niektórzy gestapowcy mieli wojłokowe ochraniacze od mrozu włożone na żołnierskie buty. Staliśmy tam, trzęsąc się z zimna, szczękając zębami i przestępując z nogi na nogę, które i tak w ciągu tej około godziny trwającej rewizji, odmroziliśmy wszyscy.

W tym czasie odbywała się dokładna rewizja w celi, gdzie przetrząśnięto wszystko do góry nogami, a przez okna otwarte, dla sprawdzania krat hulały straszliwe przeciągi. Czas rewizji dłużył się nam w nieskończoność, wreszcie po dobrych trzech kwadransach pozwolono nam wrócić do celi i ubrać się. Nie pozwolono nam jednak zamykać okna. Kapitan siedział sobie na ławce i bawiąc się pistoletem wyrzygiwał z siebie najbardziej plugawe przekleństwa pod naszym adresem. Ceremoniał miał się ku końcowi, kończyliśmy się ubierać, gdy jeden z gestapowców zauważył zegarek na ręce jednego z lekarzy, któremu udało się go nie zdjąć przy rozbieraniu się. Kazano mu zdjąć natychmiast, poczem jeden z opryszków schował go sobie do kieszeni. Kreatura uśmiechnęła się tylko i zrobiła jakąś uwagę na temat niepunktualności Hansa, widocznie tak się nazywał nowy posiadacz zegarka. Gdy po pewnym czasie drzwi zamknęły się za nimi, mogliśmy sprawdzić co nam zabrano podczas rewizji. Ogółem wyglądało to tak; 3 zegarki, 2 maszynki do golenia, ołówki, wieczne pióro, podręczną apteczkę jednego z lekarzy, (prywatna własność także) oficerski pas wojskowy, krawat naszego kowala i dwie pary czystych skarpetek. Zabrano tylko tyle dlatego, ponieważ więcej nie znaleźli. Na podłodze leżała starannie porwana książka lekarska a obok niej wszystkie fotografie, jakie mieliśmy przy sobie, zaś pod piecem walały się rozdeptane nasze szachy. Wszelkie czynności związane z niszczeniem były dziełem kanalii, opatrzonej w emblematy kapitańskie. Pomimo wszystko czuliśmy się jak zwycięzcy, gdyż nie znaleźli ukrytych przez nas przedmiotów.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się za pomocą " więziennego telefonu," że w którejś z cel, podczas rewizji, jeden z więźniów t. zw. politycznych został zbity do nieprzytomności, drugi zaś został zabrany z celi i więcej do niej nie wrócił. Z wiadomości, jakie mieliśmy o nim uprzednio pozostało mi w pamięci, że był zabierany kilkakrotnie na badania do Gestapo, po których wracał bez zębów, lub z innymi śladami metod niemieckich.

Widziałem go zdaje się trzy razy. Pierwszy raz, gdy przynosił nam wodę do celi, gdyż był jakiś czas na t. zw. " karnych robotach." Był to mężczyzna młody, lat może 30, ciemny szatyn. Drugi raz widziałem go piłującego drzewo na podwórku więziennym pod czujnym okiem straży i wreszcie ostatni, na dwa dni przed pamiętną wizytą Gestapo, wracał z przesłuchania, tego jednego z wielu. Dwie rzeczy mnie wtedy uderzyły; miał zupełnie mokre ubranie, jak po ulewnym deszczu, pomimo że była zima, a dzień był wybitnie pogodny i mroźny, a na głowie miał kilka szerokich pasm siwych włosów.

Nie wierząc własnym oczom zawołałem naszego kowala. " Tak, tak panie, to ten sam M. . . . widzi pan, jak jego ustroili." Wszyscy podbiegli do okna, lecz on zniknął już w drzwiach i tylko pięści zacisnęły się nam mocniej.

Lucjan Krzywda

Opowiadanie naocznego świadka.

Wigilia w Stalagu ★ ★ ★ B

—" Przecież to aż żal, żeby się cholerom Niemcom taka piękna gwiazdka wyrychtowała " — powiada Kriegsgefangener Bartczak, patrząc z progu baraku na zapadający zmierzch.

Mróz zelżał, a zawieja, która wczorajszej nocy spać nam nie dała swym wyciem, zostawiła piękny, biały całun, pod którym Stalag—szary kompleks baraków w wieńcu kolczastych drutów—nawet w naszych oczach wypiękniał.

—" A mało to Polaków pod tym niemieckim niebem? Miał nam Pan Bóg ładnej Gwiazdki pożałować? " Niechże choć w Wilię milej będzie przez te druty na świat popatrzeć — oponuje Skora, który odkąd choinkę przytaszczył z lasu gdzie pracował, zważniał szalenie, i robi co może, żeby nasze niewolnicze Boże Narodzenie jak najlepiej wypadło: ozdoby lepi i struga, świeczki stargował od barakowego gefrajtra i od rana po wyszorowanym baraku chodzić nie daje. Nawet naszemu szefowi zawrócił głowę i powołując się na tradycję, opóźnił o godzinę kolację, żeby się pierwszej gwiazdy doczekać. Nasza wigilijna potrawa—codzienna kartoflanka z łupinami, grzeje się teraz na piecu.

Szef, sierżant Okroja, co Niemcom na złość nie zdejmuje Krzyża Walecznych z piersi, też wyszedł przed barak, żeby się za pierwszą gwiazdą rozejrzeć. Czerwony zachód jeszcze się pali na śnieżnych stokach wzgórz, które mu dziś bardziej, niż zwykle przypominają rodzinne Wilno. To też burczy na Bartczaka i Skorę i wąsa szarpie, ale wspomnień natrętnych odgonić nie może. Wspomnień tej ostatniej Wigilii, w 38 roku, w koszarach na Antokolu. Zdaje się, że to wczoraj zaledwie było.

—" Żeby tak Panie Szefie—powiada Skora—te nasze lotniki w sitwie z Anglikami jaką bombkę w sąsiedztwie rzucić chcieli . . . Już bym tej Wilii w Stalagu nie żałował. Coś z tydzień nie słyszeliśmy ich roboty."

—" Eh, wy tam zawsze fantazje macie—już się Wam bomby na waszą choinkę zachciewa "—marszczy się Szef, ale na ciemniejący błękit spogląda, już nie gwiazdy szukając wigilijnej, lecz samolotów. Tak, jak my wszyscy, co noc.

Ale wieczór dziś cichy. Pierwsze gwiazdy jeszcze jednej Wigilii w niewoli zapalają się zwolna na niemieckim niebie.

* * *

—" Panie Szefie, melduję posłusznie barak 22-gi na zbiórce do apelu. Obecni wszyscy "—melduje służbowy.

Sierżant Okroja popatrzył uważnie na szeregi, bo mu się wydało, że lewe skrzydło zeszło nieco z przepisowej szpary pomiędzy deskami, i huknął:

—" Kompania na moją komendę—Spocznij. Zawiń skrzydła."

/Szef zawsze komenderuje " kompanią " — nie barakiem. Powiada: "—pasów nie mają, bo je na zelówki dranie Niemcy zużyli, ale wojsko jest, jak było. A o żadnych " barakach " nie słyszałem nigdy. W regulaminie jest kompania—a nie jakiś tam barak. Niemieckie wymysły."/

Pomiędzy pryczami, dokoła czworoboku 'stołów, stanęli jeńcy. Skora zgasił już światło i tylko świeczki miniaturowej choinki rzucają na twarze nikły, ciepły blask. Stoją ramię przy ramieniu, czyści, wygoleni, niezłamani fizycznie latami niewoli. Robią wrażenie nie jeńców, ale wojska w jakimś polskim garnizonie, które czeka na życzenia wigilijne szefa. A sierżant Okroja, kawałki chleba, zamiast opłatka w glinianej misce trzymając, słowa wydobyć nie może. I wreszcie ręką macha i poczyna mówić miękkim, nieswoim głosem, o jakiby go nikt posądzić nie mógł:

—" Nie dał nam Bóg tych świąt z rodziną w kraju obchodzić. Ani nawet po żołniersku—w polu spędzić. Znowu się będę z wami tym niewolniczym opłatkiem dzielić, ale wiary nie tracę, że to już ostatni raz. I życzę wam następnej Wigilii w wolnej Polsce. Co nam jeszcze przecierpieć przyjdzie, to trudno. Przecierpimy. Nie zapomnimy, żeśmy żołnierze. Przetrwamy. Wrócimy."

I Okroja obchodzi szeregi, łamie się chlebem—i rękę mocno ściska tych z wrześniowej kampanii i tych z Francji, i długo patrzy w oczy, w których się kręcą łzy.

Obsiedli najbliższe prycze i stoły na których dymi się wigilijna kartoflanka. Skora, z podniesioną do ust łyżką, na choinkę się zapatrzył, nosem pociągnął i powiada:

—" Pamiętam, na ostatnią Wilię w Polsce złowiłem kilowego szczupaka. Stara barszczu nagotowała, a dzieciaki . . . ." Nie dokończył zdania, bo Witek, ten najmłodszy, co był gońcem w sztabie I Dywizji—rozpłakał się w głos.

* * *

Walicki, zaraz po wieczerzy, namówił chłopaków, żeby z nim poszli złożyć " życzenia " niemieckim wartownikom.

—" Takim sam głodny po tej Wigilii, jak i codzień po kolacji. A jakem głodny—to zły. Muszę sobie na Szwabach ulżyć, bo, jak nie, to się dobiorę do tej francuskiej konserwy, cośmy od Czerwonego Krzyża na święta dostali —a w post to przecież nie wypada."

Wybiegli w piątkę z baraku, przez śnieg głęboki, pod oświetloną linię drutów. Walicki, znający najlepiej niemiecki, pierwszy zagaduje poprzez druty do landwehrzysty zakutanego w kożuch:

—" Prosit Weihnachten! "

Niemiec—mile tknięty, o regulaminie zapomniał, i tupiąc zmarzniętymi nogami odpowiada:

—" Prosit Fest."

—" To ciężka służba w noc wigilijną wartę odstawiać "—ciągnie słodziutko Walicki.

—" So, so—przytakuje Niemiec —i to nie pierwsza zima . . ."

—" A tak,—no, i ty stary już jesteś, a tyle jeszcze zim będziesz tu stał."

—" Nam w ciepłych barakach fajno, a ty marzniesz "—dorzuca Franek.

—" I myśmy młodzi, przetrzymamy — ciebie pierwej diabli wezmą."

—" Lepiej już ty tu skonaj której zimy, bo jak cię w polskiej niewoli potrzymamy . . ."

—" Rrraus — Verfluchte . . ." —pieni się Niemiec ściągając z ramienia karabin.

Ale chłopacy wiedzą, że mu strzelić nie wolno. Wyskoczyli z kręgu światła i biegnąc ku barakom wołają za siebie:

—" Stój spokojnie hitlerowska ofiaro i czekaj na mrozie aż ci Adolf Honolulu wyfasuje! "

—" A nie denerwuj się i za chałupą nie tęsknij, żony nie wspominaj. Już się tam nią teraz nasi koledzy na pracy dobrze opiekują. *Glückliche Weihnachten — beste Wünsche für Frau Gemahlin.*"

* * *

W baraku-kaplicy wczesna pasterka. Przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wykonanym przez jeńców malarzy, uklękli ławą Polacy i nisko schyleni modlą się gorąco, jak może nigdy przedtem.

Ponad kornie zgiętą masą mundurów khaki stoi tęga sylwetka w znienawidzonym kolorze feldgrau: to oficer-cenzor, który czuwa, aby ksiądz nie powiedział czegoś od ołtarza, co nie przeszło przez ścisłą kontrolę komendantury,—żeby się jakiś śpiew patriotyczny nie wyrwał z piersi jeńców. Przysłuchuje się teraz uważnie kolendom, i dziwi, że Polacy, ta niższa rasa, tak pięknie śpiewać potrafią.

Okroja powstał z klęczek i na Niemca popatrzył. " To ten stary, spokojny—tylko meldunek złoży i obiadu jutro nie będzie " pomyślał. I gdy ksiądz ostatni raz przeżegnał pochylone głowy, zaintonował mocnym głosem:

" O Boże, któryś jest na niebie
" Wyciągnij sprawiedliwą
dłoń . . ."

I podjęli za szefem pieśń, bez wahania—mocnymi głosami drgającymi uczuciem.

Sylwetka w feldgrau drgnęła. Otworzyło się przejście ku drzwiom w rozśpiewanej masie. Oficer wyszedł wolnym krokiem. Biegła za nim melodia mocą nabrzmiała i słowa pełne błagania:

" O Boże skrusz ten miecz, co
siekł nasz kraj
" Do wolnej Polski nam
powrócić daj . . ."

* * *

/Okroja miał rację. W drugie święto kuchnie stały zimne. Nie gotowały strawy " za złamanie dyscypliny przez polskich jeńców "—jak mówił obozowy rozkaz. Francuzi znów mieli do nas pretensje./

* * *

Po barakach światła już zgaszone. Na ciasnych, trzypiętrowych pryczach mocniej otulamy się w cienkie koce; robi się zimno. Lekkich baraków z płyt izolacyjnych nie można dogrzać nawet kradzionym węglem.

Sen, najmilszy moment obozowego życia, nie nadchodzi. Zbyt wiele myśli natrętnych, dręczących ciśnie się do głowy, gdy po dniu pracy i gwarze baraku nadchodzi chwila spokoju.

Tam w prawo—puste miejsce, już trzeci tydzień. To tego, co w areszcie siedzi, nie wiadomo za co. I jeszcze dwa puste miejsca w naszej drużynie. Staszka i Józka, co dziś w nocy poszli próbować szczęścia. Dobry czas: Niemcy piją i świętują; powinni być teraz już za lasem, przy torze kolejowym. Mają żywności na 4 dni: tabliczka czekolady i suchary. Do tego czasu, albo już będą daleko, albo u nas, na karnym baraku.

Jeszcze słychać ostatnie, ciche rozmowy. Napewno o Kraju. Szef ze swej pryczy burczy na służbowego, żeby mu zaraz uciszył salę. Albo był capstrzyk, albo go nie było. Gdzieś wśród baraków zaszczekał pies—to patrol obozowy obchodzi teren. Reflektory z wież strażniczych ślizgają się po śniegu.

Stalag zasypia zwolna, by śnić żołnierski sen o dniu czynu i zemsty.

*" Kriegsgefangener No. *** "*

Autentyczne wspomnienie przeszłorocznej Wigilii. Tylko wskazówki co do osób i miejsca są, ze zrozumiałych względów, jak najstaranniej usunięte.

Z poezji internowanych





TUŁACZA WIGILIA

*Zabłysła gwiazda i płonie wśród mroku,
W żłóbku na sianie leży Chrystus mały.
Dziś może komuś łza zaświeci w oku,
Gdy przyjdzie łamać ten opłatek biały.*

*Dzwon na pasterkę echem się rozdzwoni
I słowa życzeń na ustach zawisną . . .
Ból zamknąć trzeba w bratnim ścisku dłoni
Stłumić łez gorycz, co do ócz się cisną.*

*Kiedy się dźwięki kolędy rozlegną
Na obcej ziemi w Wigilię tułaczą,
Myśli, jak ptaki strwożone pobiegną
Ku tym, co nas czekają i . . . płaczą.*

*Słuchajmy: może w tę Noc Świętej Ciszy,
Co niesie spokój dla duszy człowieka,
Ktoś czyjeś słowa kochane usłyszy . . .
Płynące z tajgi sybirskiej z daleka.*

*Jakąż Ci, Jezu, dziś złożym ofiarę?
Nie stać nas przecież na perły i złoto.
Chyba mundury postrzępione, szare,
Żołnierskie serca, bijące tęsknotą.*

*Myśmy krwawego nie zlękli się trudu,
O jedno dzisiaj prosimy Cię, Panie!
Ty, coś zszedł z niebios, by cierpieć dla ludu
Spraw, niech się dla nas sprawiedliwość stanie!*

Durrenroth, **1940.**

Feliks Szelewicki

LIST DO SYNA

*Jesteś mały . . . i listu mego nie przeczytasz.
/Może nawet—co piszę?—Mamy nie zapytasz . . ./
Ale piszę, jak gdybyś mógł. Kiedyś po latach,
Zrozumiesz: że Cię kochał, że tęsknił Twój " tata " . . .*

*Kiedyś, później, szperając w zapomnianej szafie,
Znajdziesz moje pożółkłe listy . . . fotografie . . .
Zaczniesz czytać, rozumieć, wspominać i—marzyć
O dawnym życiu ojca. O myślach. O twarzy . . .*

*Czemu nie był przy Tobie. Czemu Mama na noc
Sama tylko mówiła Ci słodkie: " dobranoc."
Czemu miałeś zabawek Twych biednych tak mało.
Czemu Mamie tak często bawić się nie chciało . . .*

*Siedzisz teraz w ogródku—z pluszowym
niedźwiadkiem—
I nie wiesz: jaki świat jest za małym Twym
światkiem . . .
Będziesz wiedział. Nie prędko. Ale kiedyś przecie
Przyjdzie czas, kiedy mówić Ci zaczną o świecie.*

*O tym wielkim. Tak wielkim, że życia nie starczy
By go pojąć, ni godzin na słonecznej tarczy . . .
O tych ludziach, tak wielu, że ziemi zamało,
Aby każdy mógł kwiaty zrywać garścią całą . . .*

*Będziesz innych /i siebie . . ./ pytać co raz częściej,
Najprzód: gdzie jest? a potem: czym jest
ludzkie szczęście?*

*I nie powie Ci tego nikt. Aż przyjdzie chwila,
Gdy nagle Ciebie takim zawoła coś głosem,
Że zobaczysz—jak szala losu się przechyla . . .
I zrozumiesz: to ten los, ten—jest Twoim losem! . . .*

*I nie popatrzysz wtedy na lewo, ni prawo,
Nie spojrzysz wstecz, za siebie, wahającym wzrokiem,
Lecz—głuchy na przestrogi, na przekór obawom,
Na przód tylko, uparcie, męskim pójdziesz krokiem . . .*

— — — — — — — — — — —

*Dziś, teraz ja tak idę: wciąż na przód, przed siebie,
Choć nie wiem: czy ta droga daleka, czy krótka? . . .
Choć nie wiem: kiedy dojdę nią, Synku—do Ciebie . . .
Do Twego dziecinnego, małego ogródka . . .*

*Ale wiem, że tak muszę, choćbym iść miał długo,
Choćbym wiele wydeptać musiał obcych szlaków,
Abyś Ty kiedyś, inną drogą mógł pójść: drugą—
Pośród polskich pól, własnych, pośród polskich
maków . . .*

*Abyś polską Wigilię i polską Wielkanoc
Ty mógł w życia mieć, zawsze, wśród swojej wędrówki . . .*

— — — — — — — — — — —

*Już późno . . . Więc przyciskam usta do Twej główki
Kochanej, sennej bardzo . . . Śpij słodko. Dobranoc!*

Jerzy Brzozowski

Wszystkie wiersze na tej stronie pochodzą ze zbiorku wierszy p.t.: " Czwartacy w Szwajcarii " odbitego w 300 egzemplarzach na zwykłej maszynie do pisania w obozie Lutzelfluh w listopadzie 1940.

LIST DO RODZICÓW

*Piszę znów do Was—po raz nie wiem który . . .
I wciąż napróżno czekam odpowiedzi:
Minęło lato—śnieg opadł na góry,
Sczerniał na drzewach blask złota i miedzi
I co raz częściej suchy liść szeleści . . .
I od Was nie ma nic . . . najkrótszej wieści . . .*

*Co dzień, gdy idę spać i zamknę oczy,
Myślę, że może sen mi Was pokaże:
Jak Wam upływa zwykły dzień roboczy,
Jak nad gazetą pochylacie twarze,
Lub—gdy piszecie list do mnie, tak długi,
Jak dni jesiennej szwajcarskiej szarugi.*

*Nieraz z żałością patrzę, gdy żołnierze
/Choć nie zazdrościć staram się nikomu . . ./
Listy od swoich otrzymują . . . Z domu . . .
Jak każdy zaraz na bok list swój bierze.
Ach, bylem dostał! Nawet się nie wzburzę,
Że szedł tak długo i że był w cenzurze! . . .*

*I że nie będzie prawdy w nim tak wiele,
Jakbym ja pragnął w każdej mieć literze:
" N a m t u j e s t d o b r z e "
—Szczerze, czy nieszczerze?!
Dlaczego " s i o s t r a o d k ł a d a w e s e l e " ?
Dlaczego—adres innego mieszkania? . . .
A gdzie odpowiedź na moje pytania?!*

*—Czy macie drzewa i węgla na chłody?
—Czy siostrze lekarz pozwolił na pracę?
—Czy moje książki—wciąż na strychu w pace?
—Czy nie przecieka znów dach w niepogody?
—Czy Mama robi na zimę zapasy?
—A brat? Czy przeszedł do następnej klasy?*

*A może u Was to wszystko inaczej,
Niż ja pamiętam, jak dawniej bywało? . . .
A może Mama wieczorami płacze,
Że cukru nie ma, że nafty za mało,
Aby nazajutrz Wam lampa nie zgasła?
A może . . . chleba już brak, a nie masła? . . .*

*Tak mi za Wami tęskno, że piechotą
Chciałem stąd ruszyć /już wybrałem drogę!/,
Ale był rozkaz: " zostać! "—więc nie mogę . . .
Bo my tu wojskiem jesteśmy, nie poto,
By każdy mógł dąć w własny miech warcholski,
Lecz, aby kiedyś wejść razem—do POLSKI!*

*Więc znowu—tylko . . . piszę. I z daleka
Za Was się modlę. Niech Najświętsza Maria
Ma Was w opiece. Ja—wierzę i czekam.
Całuję . . .
Wasz syn . . .*

Lutzelfluh /Szwajcaria/

Jerzy Brzozowski



Pomnik ufundowany i wzniesiony przez żołnierzy polskich, internowanych w Szwajcarii, jako wyraz wdzięczności dla narodu szwajcarskiego

LIST DO ZONY

*Kochana! Co za szczęście: wciąż trudno uwierzyć,
Że to list Twój, Twój pierwszy list—przede mną leży . . .
Ileż innych przepadło od chwili rozstania . . .
Ileż—próżnych nadziei . . . Próżnego czekania . . .*

*Czytam—nie: chciwie piję każde słowo . . .
Nie kończę . . . Znów zaczynam . . . Przerywam na nowo
I, chyląc się nad łzami poplamionym świstkiem,
Z Twych łez czytam, nie: z liter—o wszystkim . . . o wszystkim.*

*Bo w słowach Twoich—nie ma skarg, jest tylko troska,
Czy mi sił do wytrwania da Opatrzność Boska;
Czy mi zdrowia wystarczy, czy mnie los nie złamie . . .
Bo swój ból, w ł a s n y, skryłaś w łez wyschniętej plamie.*

*Jest jedno tylko, ale tak smutne—wyznanie,
Że kłuje, co raz głębiej, jak cierń w serca ranie . . .
Piszesz: " Ty bądź spokojny o mnie, jestem zdrowa.
Tylko—listu wciąż czekam . . . Choć jednego słowa,
Że żyjesz . . . Że pamiętasz . . . Wciąż modlić się staram . . .*

*Wiesz? . . Zsiwiałam . . . Gdy wrócisz kiedyś, będę stara . . ."
Ach . . . Czym oczy rozjaśnić, co z dniem każdym gasną? . . .
Tylko własną nadzieją? . . . Tylko wiarą własną? . . .
O, uwierz: że zimowe dnie, to te—najkrótsze . . .
Przyjdzie inny dzień jutro! . . .
—Słuchaj o tym Jutrze:*

*Wczesnym rankiem słonecznym—widzę Cię, Warszawo,
Owinięta w sztandarów szatę biało-krwawą . . .
Pełna gwaru . . . Wesela . . . Wiosennego szumu . . .
Falująca radością niecierpliwą tłumu! . . .
Biją serca . . . Drżą ręce . . . Płoną—oczy . . . twarze . . .
Każde okno—otwarte . . . Każdy dom w pożarze . . .
Każdy balkon wyciąga ramiona z zieleni . . .
Każdy sztandar drży . . . blednie . . . I znów się
rumieni . . .*

*Na ulicach, na dachach, w oknach, na balkonach—
Jeden wyraz ust . . . Oczu . . . Jeden ruch—w ramionach . . .
Wszyscy mną kwiaty w skurczem zaciskanych
pięściach:
By nie płakać . . . I—płaczą! . . . Ze szczęścia . . . Ze szczęścia . . .*

*Hucznym marszem nas wiodą pułkowe kapele—
Trąb złocistych z wysiłku dygocą gardziele! . . .
Bębna grzmot triumfalnie o dom każdy uderza! . . .
W bruk Warszawy takt wbija krok każdy żołnierza.
Duma piersi rozsadza! . . . Baczność—mięśnie
pręży . . .
Jedna myśl: " p o t o ś walczył . . . Krwawił . . .
I—zwyciężył!! "*

*. . . Ty stać będziesz przy oknie . . . Albo nie:
przy furtce . . .
Nie poznasz mnie w żołnierskiej, zakurzonej kurtce . . .
Stać będziesz—wiesz? w tej starej, niebieskiej sukience,
/którą zawsze pamiętam i lubię—najwięcej . . ./
Pochylona . . . Wpatrzona . . . Szukająca
wzrokiem . . .
A szereg za szeregiem idzie twardym krokiem—
Już Cię mijam . . . I nagle: spotkały się oczy . . .
Świat cały zawirował! . . . Nasz dom się
zatoczył! . . .
Flagi—w niebo wionęły! . . . Łopocą jak żagle! . . .
—Długo szło ku nam szczęście . . . A przyszło
tak nagle . . .*

*I poczuję na ustach kwiaty—z Twoich dłoni . . .
I jak serce stanęło . . . Jak krew w uszach
dzwoni . . .
Tylko krok, wyćwiczony i posłuszny woli,
Wiedzie dalej . . . Aż rozkaz przystanąć pozwoli.*

*Wtedy—powiem Twym oczom, że nie zblakły z płaczu . . .
Powiem ustom—co słowa żywych uczuć znaczą . . .
Powiem włosom Twym srebrnym, że z piękna
ich bieli
Serce dziś tak, jak dawniej z kruczych się weseli . . .
Powiem rękom, zmęczonym w lat ubiegłych męce:
" Odtąd drżyjcie już z szczęścia tylko . . . Małe
ręce . . ."
—Kończę list mój . . .*

*Czy wierzysz jak ja—wiem, jak—wierzę:
Żeby Twoim być j u t r o, chcę być d z i ś—żołnierzem . . .*

Jerzy Brzozowski

Hejnał krakowski nad Wołgą

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Korespondencja ta dotarła do naszych rąk w tej chwili, ale pochodzi z końca października. Wiele szczegółów, dotyczących kraju i naszej Armii ma już dziś znaczenie historyczne: ustała w tej chwili ewakuacja, a nasi koledzy—jak wynika z depeszy radiowej—noszą już, jak my, mundury angielskie. Drukujemy tę korespondencję bez zmian, jako świadectwo okoliczności i nastrojów, wśród których formuje się nowa Armia Polska.

Red.

Dywizje Wojska Polskiego w Z.S.R.R., rozmieszczone są na wielkich przestrzeniach. To też, aby odwiedzić 5 Dywizję Piechoty, trzeba ze Sztabu Armii przejechać półtorej setki kilometrów koleją, następnie kilkaset kilometrów płynąć w dół "wielkiej rzeki", następnie zaś koleją lub drogą kołową przebyć jeszcze kilkadziesiąt kilometrów do miejsca postoju Dywizji. W warunkach komunikacji wojennej oraz wobec ustalonych tutaj zwyczajów trzeba za każdym razem nabywać bilet, forsując najpierw tłumy, oczekujące cierpliwie na zezwolenie wojennego komendanta dworca lub przystani, a następnie zdobyć sobie przejście do okienek biletowych. Czynności te odbywają się w niebywałym zaduchu dziesiątków tysięcy ewakuowanych, którzy płyną i na północ i na południe i na wschód. Groźne są te tłumy dla podróżnego dlatego, że tamują możliwość wypraw o charakterze służbowym. To też pierwszy etap drogi trwa pół doby, drugi, wodny, od 3 do 4 dni, trzeci jest najkrótszy co prawda, ale pożarł mnóstwo czasu na wyczekiwanie odejścia pociągu.

Mając chleb, naczynie na wrzątek i nieco tytoniu lub machorki, dojeżdża się jakoś na miejsce. Można by było przybyć tu w parę godzin samolotem, ale loty zależą od pogody i wielu innych warunków. To też wędruje się mniej wygodnie, ale nieraz szybciej, forsując sobie drogę szlakiem wymienionym, albo jeszcze dalszym objazdem, wyłącznie kolejowym.

Na miejscu zastajemy trochę domków, bo był tu dawniej wielki obóz wojsk sowieckich, kilka zabudowań—pozostałość po majątku prywatnym,—wreszcie tysiące namiotów, stawek, dobre miejsce na strzelnicę, psującą się łaźnię, niedaleko zaś zabłocone miasteczko, ze stacyjką i elektrownią.

Na środku poligonu stoi wysoka wieża do skoków spadochronowych. Z wieży tej codzień w południe trębacz wygrywa hejnał krakowski, dziwnie brzmiący pośród tych mało zaludnionych przestrzeni, ale od razu stwierdzający, że Polacy urządzili sobie tutaj swój własny maleńki świat. Co dzień hejnał, stosownie do tradycji, urywa się w tym momencie, w którym według legendy, trębacz był zabity przez Tatara. Miejmy nadzieję, że żadne nowe wydarzenia nie skrócą miłej dla naszego ucha melodii.

Podróż odbywam w mundurze, który zwraca ogólną uwagę. Setki i tysiące ludzi bez przerwy obserwują każdy mój ruch. Obserwacja ta jest niesłychanie baczna. Nawet dzieci są bardzo ostrożne w nawiązywaniu znajomości z takim etranżerem. Na orła mówią "pietuch", co oznacza koguta.

Podróżujący komisarze z czerwonymi gwiazdami na rękawach, różni "politrucy", wyżsi oficerowie i dygnitarze są natomiast bardzo uprzejmi i kulturalni. Gdy wszczynają rozmowę, natychmiast otacza nas tłum milczący i uważny; gdy rozmowa ustaje, tłum szybko rozchodzi się i rozpoczyna swoją obserwację zdaleka. Każda z setek rozmów zawiera nieodzownie dwa pytania: "Dlaczego Anglia nie przyśpiesza pomocy?" i drugie: "Dlaczego Polacy nie są jeszcze gotowi do boju?"

Polacy są gotowi. Tysiące ich musiało narazie odejść od szeregów z powodu braku nowych obozów. W obozach dotychczasowych zmieściło się parę dywizji, pośpiesznie się ekwipujących.

Polacy są gotowi. Ale, aby jeść, muszą zdaleka dowozić zaopatrzenie. Jednakże dotychczas ludzie nie głodowali, a różne braki traktowane są wesoło i żartobliwie, podobnie jak nieobute nogi i łachmany. Hasło "wytrzymamy" rozbrzmiewa na odprawach oficerskich i podoficerskich, jest powtarzane w pismach, odczytach i plakatach, służy za motto nieustanne przy każdej okazji. Polski żołnierz uparł się, że wszystko przetrzyma—i to z dobrym humorem.

Trzeba stwierdzić, że proces odkarmienia ludzi, których racje dzienne wynosiły po 500 i po 300 gramów chleba przez długie miesiące—znacznie postąpił na przód. Kilkadziesiąt tysięcy polskiego żołnierza znajduje się w sytuacji luksusowej w porównaniu z setkami tysięcy uchodźców.

W obozach audytoria moje bywają bardzo liczne, nieraz dochodzą do 1,000 słuchaczy i więcej. Dzieje polskiego marynarza, lotnika i piechura na zachodzie—powstrzymują kaszel, bo wszyscy są tu przeziębieni. Nieraz widzi się płaczących z radości, że polscy lotnicy walczyli nad Anglią i nad Berlinem, że "Piorun" atakował "Bismarka," że w Norwegii Niemiec był bity, że w kwaterze polowej Naczelnego Wodza zgromadzone są polskie sztandary, oczekujące w Szkocji na powrót do wolnej Ojczyzny. Nie mówię bynajmniej z patosem. Ale zwykłe fakty, z którymi otrzaskani byliśmy w Anglii i Szkocji—tu mają wymowę szczególną. Nic dziwnego. Polski orzełek ma tutaj wartość niezmierną, barwy narodowe przemawiają do krwi i ducha, a relikwiami prawdziwymi są krzyżyki wyrzeźbione z wołowej kości, albo kawałkiem szkła w drzewie wyrobione ołtarzyki z Matką Boską Ostrobramską.

Każdą pracę charakteryzuje wielki zryw. Na głos polskich karabinów maszynowych przychodzą masy żołnierza i strzelnica wygląda raczej na jakiś teatr na otwartym, bardzo zimnym i mokrym powietrzu. W mróz i zamieć, z nogami owiniętymi w szmaty, gapią się żołnierze na tarcze i nie czują chłodu, rozgrzewani miłym trajkotem maszynek. Obsługa karabinów maszynowych traktowana jest przez galerię z podziwem i respektem, tak, jak by była trupą wyborowych artystów, albo zgromadzeniem szczególnie wyróżnionych obywateli tego nadwołżańskiego Rembertowa, czy też Biedruska.

Na musztrę i ćwiczenia polowe namioty wyrzucają bardzo pstrą zewnętrznie zbieraninę, ożywioną duchem wytrwania i marszu naprzód. Kompanie usiłują nabrać jednolitego wyglądu w drodze wymiany otrzymywanych części umundurowania, wziętego przez Rosjan w Rumunii, Estonii, Łotwie i w Polsce. Bosi nie mogą ćwiczyć gdy jest błoto, ale dzięki szmatom radzą sobie w mróz. Na koncerty i odczyty przyjeżdżają wozami. "Jak na wesele"—żartują sobie żołnierze.

Mnóstwo talentów. Nowe piosenki. A pismo obozowe "W Marszu," przepisywane i ilustrowane bogato, oczywiście ręcznie, z benedyktyńską cierpliwością—przejdzie do historii. Wychodzi aż w 18 egzemplarzach. Wywieszane jest w batalionach i pułkach, gromadzi, narówni z codziennym biuletynem, tłumy czytelników. Kierownikiem artystycznym pisma jest brat znanego wszystkim "Wiecha," a duszą tej niezmordowanej pracy—plutonowy Bulsiewicz, zresztą świetny zapowiadacz i organizator koncertów. Umiejętność zbiorowej pracy i podtrzymywania jej napięcia cechuje tę bosą armię. Łatwo to powiedzieć, trudniej wyobrazić sobie jej trudności. . . .

Oficerowie są z żołnierzami. Setka kobiet zajmuje się w każdej z dywizji praniem, szyciem, świetlicami. Te ostatnie są jeszcze nieliczne i mikroskopijne. Niektóre pułki mają już instrumenty muzyczne. Muzyka wojenna rozgrzewa zmarzniętych.

Po opuszczeniu tej wielkiej solidarnej rodziny dywizyjnej znalazłem się w Saratowie, w drodze powrotnej. Było zimno i mokro, ludzie chuchali w ręce i co dziesiątemu kapało z nosa. Najdłuższa i najbardziej gęsta kolejka była do straganu z lodami. Tego jesiennego dnia szansa była wielka dla tysiącznego tłumu. Lody dziś—czekoladowe. Można je zjeść na miejscu, a jeszcze lepiej przenieść do domu i mieć filiżankę słodkiego, gorącego kakao.

Nim dojechałem do Ambasady w Kujbyszewie, następnej oazy rodzimej, zobaczyłem i usłyszałem wiele jeszcze dziwnych rzeczy. Znów spotkałem wielu naszych obywateli w mundurach sowieckich. Wielu rannych, ozdrowieńców, poszukujących swoich oddziałów, wiele niepokoju—dlaczego Anglia nie pomaga, nie odciąża.

W jednym wypadku spotkałem się z wyjaśnieniem stosunku Rosjan do nas. Wybitny dygnitarz, Europejczyk w każdym calu dobrze skrojonego ubrania, znawca stosunków międzynarodowych, no i oczywiście członek Kompartii, mówił:

—Popełniono w stosunku do Polaków i do polskich terenów okupowanych bardzo wiele błędów. Jest to zjawisko u nas znane, że często bywa przeholowanie, a czasami po prostu zdrada. Nie tak dawno Rosja przeżyła "udar po kadram." Zniszczono wówczas bardzo wielu najcenniejszych pracowników partyjnych. Na szczęście dowiedział się o tym Stalin i uratował wiele niewinnych ofiar. Zjawiska takie są wynikiem albo nadmiernej gorliwości, albo zdrady, no a przede wszystkim chorobliwej podejrzliwości. Podejrzliwość ta przeszkadza teraz wielu Rosjanom odnosić się z zaufaniem do Polaków, pomimo że wiadomo, iż w obecnej sytuacji nie mogliby oni nic nam zaszkodzić, nawet gdyby chcieli, gdy tymczasem jest jasne, że ich przywódcy obecni zasługują na całkowite zaufanie. Najlepiej byłoby zorganizować wielką polską armię i w decydującym momencie wskazać jej drogę do domu poprzez front niemiecki. Tacy żołnierze jak wasi, po tylu cierpieniach—dojdą napewno. Mam nadzieję, że tak właśnie będzie . . .

Miejmy nadzieję, że taki właśnie punkt widzenia zwycięży. W razie przeciwnym—płynąć będziemy z falami wydarzeń, które na różnych mieliznach i głębiach wyrzucić mogą wschodnie polskie dywizje.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz



Sztandary na budynku Sztabu Armii Polskiej w Z.S.R.R.

Gen. Sikorski wśród żołnierzy polskich w Z.S.R.R.

Buzułuk. 12.XII. Drogą radiową

Po rozmowach politycznych w Moskwie i Kujbyszewie gen. Sikorski przebywa teraz wśród oddziałów polskich w Z.S.R.R.

O godz. 20.00 w wielkiej sali Sztabu odbyło się przyjęcie na cześć Naczelnego Wodza. Wzięli w nim udział Ambasador R.P., przedstawiciele armii angielskiej, amerykańskiej i czechosłowackiej. Rząd Sowiecki był reprezentowany przez Wyszyńskiego, a Armia Czerwona przez Wołkowyskiego.

Przyjęcie zmieniło się w wielką manifestację przyjaźni wszystkich narodów walczących o wolność. Przedstawiciele armii sprzymierzonych wygłosili przemówienia, podkreślając w gorących słowach braterstwo broni i wspólnotę celów. Po każdym przemówieniu orkiestra grała hymny narodowe państw alianckich.

Wyszyński podnosił bohaterstwo armii i wzniósł toast na cześć Polski wolnej i potężnej. Członek Parlamentu Brytyjskiego mjr. Cazalet oświadczył, że pokój przyszłej Europy będzie się opierał na trójkącie Wielka Brytania, Polska i Rosja. Te państwa zwiążą się trwałą przyjaźnią. Trzeba zapomnieć—mówił—o przeszłości, dziś wytrwać, a jutro odnieść zwycięstwo.

Nastrój zebrania osiągnął swój szczytowy punkt w żołnierskim przemówieniu dowódcy Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R. gen. Andersa: "Panie Generale, chcemy powiedzieć, że przez tydzień, który byłeś z nami, odczułeś jakie mamy serca, jak czujemy, jak Go kochamy, jak mu życzymy, by nas doprowadził do zwycięskiego końca, do Polski—zwycięskiej, silnej, szczęśliwej i niepodległej. Niech żyje Wódz Naczelny!"

Zebranie zakończyło się przedstawieniem, w którym wzięli udział artyści scen warszawskich.

Buzułuk 13.XII. Drogą radiową

Generał Sikorski odwiedził wielki obóz wojsk polskich w Z.S.R.R. Dwie dywizje słuchały w skupieniu, jak Naczelny Wódz pozdrawiał żołnierzy w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu, braci-żołnierzy walczących w powietrzu, na oceanach i w Afryce, stojących w pogotowiu na straży brzegów Wielkiej Brytanii.

Generał Sikorski szedł przez szeregi, rozmawiał dużo z żołnierzami. Później z Ambasadorem R.P. i pięciu oficerami brytyjskimi i amerykańskimi wchodził pod pokryte śniegiem namioty. Nasi żołnierze są już w angielskich mundurach i prezentują się świetnie. Nastrój wśród nich gorący z powodu odwiedzin Generała, zmian na lepsze i nadziei walki z wrogiem.

W kaplicy obozowej, po nabożeństwie, gen. Sikorski złożył ślubowanie w obecności ks. kapelana: "Bóg widzi moje serce, zna moje intencje oraz zamiary, które są czyste i rzetelne. Jedynym celem moim—wolna, sprawiedliwa, wielka Polska. Ślubuję do celu tego poprowadzić." Te słowa wywarły ogromne wrażenie i przejęły wszystkich obecnych wzruszeniem.

Potem odbyła się defilada i obiad. Gen. Sikorskiemu cały czas towarzyszył Wyszyński. Jego przemówienie w czasie obiadu miało serdeczny ton i obracało się wokół stwierdzenia, że Rząd Sowiecki pragnie zapomnieć o przeszłości, a myśleć o przyszłości, bo wspólne nieszczęścia uczą nas, łączą i każą iść razem ku jednej wspólnej sprawie—zniszczenia Niemców.

Po obiedzie odbył się koncert, jak wczoraj w Buzułuku. Ambasador mówił żołnierzom o kraju, o duchu poświęcenia i o miłości do Armii: "Wieści o Was, o żołnierzach—stwierdzał—są wyczekiwane w kraju, są kolportowane jak najszerzej, są jego radością i nadzieją." Widownia była przejęta najgłębszym wzruszeniem.

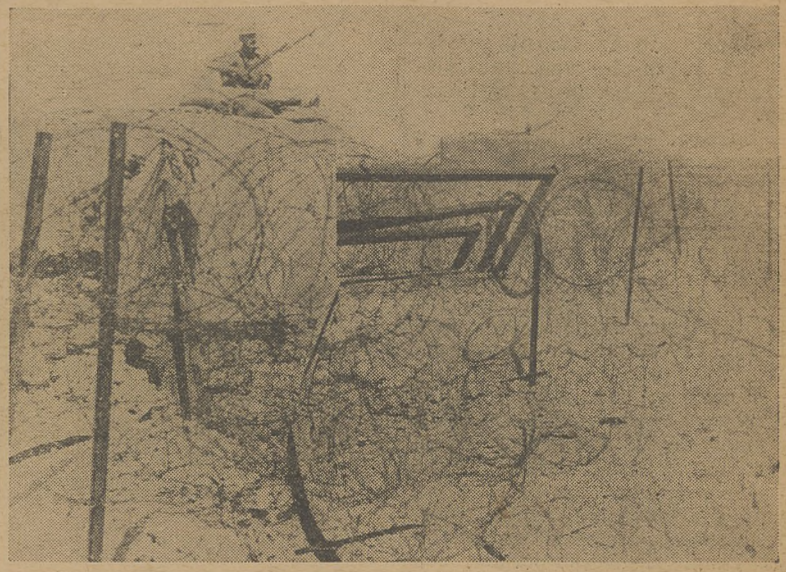
Generał Sikorski jest już w drodze do następnej dywizji. Towarzyszy mu gen. Anders. W związku z pobytem Naczelnego Wodza wyszedł drugi numer "Orła Białego." Generał otrzymuje wszędzie bezcenne pamiątki, rysunki i fotografie.

Jednocześnie objeżdżają obozy polskie pisarze sowieccy Ilia Erenburg i Katajew. Władze sowieckie nadały przyjęciu gen. Sikorskiego bardzo uroczysty charakter. Wszędzie na stacjach flagi polskie i sojusznicze.

Polacy w Tobruku



Żołnierze polscy w drodze do Tobruku



Posterunek na umocnieniach Tobruku

Dwie oryginalne korespondencje, które tutaj drukujemy pochodzą z pisma S.B.S.K.: "Ku Wolnej Polsce."

Jeżeli moje reportaże z Tobruku rozpocznę od artylerii—to zastrzegam się z góry, że przez taki początek nie mam zamiaru reklamować jej jako najpierwszej, najlepszej i najbardziej naszej broni polskiej w Tobruku. Wszystkie rodzaje broni polskiej, tworzące części składowe bijącej się w Tobruku naszej wielkiej jednostki bojowej—zdają doskonale swój egzamin. Tak 'szara piechota', która dziś już na piechotę nie chodzi, jak 'błyszcząca kawaleria,' która już na koniach nie jeździ—artyleria, ppance, saperzy, łącznościowcy /'signalsami' zwani/, transportowcy—ba, nasze "łapiduchy" czyli sanitariusze—wszyscy są równie dobrzy i równie uczciwie swój egzamin żołnierski zdają.

Zaczynam od artylerii tylko dlatego, że ona pierwsza oddała strzały do bydląt, "boszami" zwanych. Poszło to przy tym tak skutecznie, że poniekąd zmieniło zasady wojowania w Tobruku. Jak wiecie, piechota lubi artylerię przeważnie tylko w wojnie ruchowej. Lubi ją wtedy czuć za swoimi plecami, czasem nawet bardziej nowocześnie, bo w roli ppanców przed sobą. W wojnie pozycyjnej, "tobruckiej"—dotąd lubiła ją nieco mniej. Rzecz całkiem prosta. Jeżeli twoja artyleria strzela, stara się odpowiadać artyleria maka- i kara-koniarzy, naturalnie strzelając na piechotę nieprzyjaciela i psując tym spokój domowy pierwszej linii. Jeżeli jeszcze do tego siedzisz na kwadratowej skrzynce i przeglądasz z podnieceniem magazyn z blond-Venus na froncie, to cię hamsinowska pasja ogarnąć może.

Nasi artylerzyści wprowadzili nieco lepszy porządek i w godzinach przeznaczonych na spokój—nie zabierają głosu. Ale już potem nie trzeba iść do kina, a pilnie patrzyć co się u maka- i kara-koniarzy dzieje. Artyleria nasza jeszcze raz dowodzi, że mało ma sobie równych. Lecą strzępy ze schronów i pozycji wroga, gdzie ich kilku zbierze się choćby najdalej do jakiejś poprawki, gdzie ukaże się kilka samochodów nieprzyjaciela—tam zaraz świszcze złowrogo kuferek żelaza—niemal nieomylnie. Co pewien czas, zwłaszcza kara-koniarze, wystawiają ze swych schronów chorągiew z czerwonym krzyżem i w powstającej przerwie wynoszą swych rannych.

W rejonie Tobruku panuje pod tym względem, mało nam zresztą do przekonania przemawiająca maksyma, że "jeżeli Indianin skalpuje Anglika, to nie dowodzi to konieczności skalpowania w rewanżu Indianina"—i mimo tego, że maka- i kara-koniarze bombardują nam szpital i miejsca oznaczone czerwonym krzyżem, my nie czynimy podobnie i gdy zasłaniają się czerwonym krzyżem, przerywamy na chwilę ogień. Sami natomiast nie korzystamy z tego nigdy i przemyśliwujemy nad tym, jakby tu te zasady zmienić, bo przecie wróg na żadne piękne gesty nie zasługuje. Celne kuferki są zapewne najlepszą odpowiedzią.

Twardą pracą, artyleria nasza zmusiła wroga do odsunięcia się na wielu miejscach wrzaskliwych moździerzy i kaemów i da'a mu poznać, że to Polacy teraz naprzeciwko. Nasza artyleria uważa się za najściślej związaną z piechotą, a jeden z najmilszych Krzyży Walecznych otrzymał podchorąży, wyłażący przeważnie przed samą piechotą, lub penetrujący po terenie wroga i jego przedpolu z najryzykowniejszymi patrolami. Przy tym "ciotka" podchorążego staje się zwolna sławną. Przykro mi tylko bardzo, że ze względu na tajemnicę wojskową nie mogę powiedzieć, co zacz ta "ciotka". Mogę wam tylko tyle powiedzieć, że jest ona jedną z najgrubszych w Tobruku i robi wiele zgryzoty wrogom.

Starają się też wszelkimi siłami zwalczać naszą artylerię—ale nie idzie im to i—puknijmy w drzewo—nie pójdzie na przyszłość. Nie było słowa przesady w reportażu australijskiego dziennikarza o postawie polskich artylerzystów w chwili ataku kilkudziesięciu bombowców niemieckich "Stuka" na nasze baterie. Bomby, bombami a strzelanie — strzelaniem. Napewno bardziej denerwowali się kara-koniarze w swych "Stukach" rzucając bomby, jak nasi chłopcy strzelając sobie dalej, jak na popisie, czy zawodach strzeleckich. Słusznie też spotkała ich pochwała i odznaczenia Krzyżem Walecznych. Człowiek strzela—Pan Bóg kule nosi. Sprawiedliwy Bóg dobrze niesie kule polskich artylerzystów w Tobruku i poniesie zapewne niebawem dalej.

* * *

Zjawienie się Wojska Polskiego w Tobruku zmieniło nieco nastrój toczonej tam walki. Jest jasne, że rachunki nasze z Niemcami posiadają bardziej obszerne konto do wyrównania, niż rachunki innych Aliantów, i że S.B.S.K. od dawna oczekiwała możności choćby częściowych spłat. Jest więc prawdą, że na różne potyczki, patrole, itp. istnieje kolejka i dowódcy mocno muszą młódź naszą trzymać w rękach. Panuje pod tym względem wspaniałe wyrównanie i wspaniałe współzawodnictwo między wszystkimi rodzajami broni, a dobrze zasłużona liczba Krzyży Walecznych zdobi już wiele piersi.

Trzy miesiące nieustannej bitwy zahartowały wspaniale naszych żołnierzy i dały chlubne świadectwo o poziomie dowódców, którzy dokładnie opanowali wszystkie tajniki nowoczesnej wojny.

Czuje to doskonale nieprzyjaciel po drugiej stronie wałów fortecznych, a częste głosy irytacji radia rzymskiego i berlińskiego potwierdzają tylko fakt, że bardzo twardy przeciwnik znalazł się na okopach Tobruku, "turysta generała Sikorskiego"—który z Tobruku zamierza odbyć podróż wszystkich serc polskich przez Rzym-Berlin do Warszawy. Jeżeli czytamy obecnie o znacznie zmniejszonej działalności nieprzyjaciela wokół Tobruku, to przypisać możemy to faktowi zwiększenia się poważnego ryzyka wszelkich zaczepek.

Przybiera to czasami już formy humorystyczne. Przed niedawnym czasem, w nocy, osiołek jednego z naszych oddziałów wlazł na pola minowe tuż przed pozycjami nieprzyjaciela. Nieostrożne ośliskо spowodowało eksplozję kilku min, czym—samo spłoszone w galopie—wywołało wybuch wielu innych. W mniemaniu, że to znowu ci Polacy idą, nieprzyjaciel na szereg godzin uruchomił cały posiadany ogień, czołgi, odwody i t.p.—marnując szaloną ilość amunicji, syzyfowo dowożonej przez Morze Śródziemne.

Żołnierz nasz doskonale zdaje sobie sprawę z ciążącej na nim odpowiedzialności i faktu, że stoi oto w ciężkiej zbroi na ziemi wasala niemieckiego: Włoch i że oddaje pierwsze w tej wojnie polskie do niego strzały.

Również i fizycznie żołnierz nasz w Tobruku czuje się dobrze. Wszystko to, co tak zwane trzy "p" /pewna pani powiedziała/ czasem kolportuje w Palestynie i gdzieindziej, jest plotką małych serc czy umysłów.

"Pewna pani lub pan powiedzieli," że nasi w Tobruku cierpią czasem z głodu i pragnienia. I to u naszego rozmówcy wywołało uśmiech. "Mamy jedzenia w bród, a komu smakuje tzw. "repeta"—może mieć jej dowoli. Całkiem pewnie stwierdzono, że oblęgani w Tobruku lepiej i obficiej jedzą, niż oblęgający—o piciu nie mówimy, skoro sam Tobruk jest znanym centrem wodnym dla wielkiej przestrzeni pustyni. Nieprzyjaciel musi swą wodę przywozić z daleka, a z przejętych listów niemieckich wiemy, jak im ta słonawa i ciepła woda nie smakuje. My mamy wodę dobrą, a im piwne brzuszyska skręca paskudna woda, w dodatku cuchnąca chlorem. Było zresztą sporo wypadków, że żołnierze nieprzyjaciela dobrowolnie zgłaszali się do niewoli w Tubruku, by się raz najeść i do syta napić.

Otrzymujecie obficie pocztę z Tobruku. O cóż Was ewentualnie w tych listach proszą?—Przeważnie o czekoladę, wiadomo, młodzi chłopcy słodycze lubią, aczkolwiek "Naffi" i tej w skromnych ilościach dostarcza.

—Tak, ale biedacy często przechodzą tam burze piaskowe, piasek nie daje im oddychać! . . .

—Prawda, nie tylko w Tobruku, ale w całej Zachodniej Pustyni panują burze piaskowe, ale nie jest to takie częste, jak fama głosi i nie takie znów dokuczliwe, jak n. p. błoto, śnieg lub t.p. utrapienia innych frontów. Nikt z naszych żołnierzy nie traci humoru na widok zawiei piaskowej i nikt się z piasku nie rozchorował.

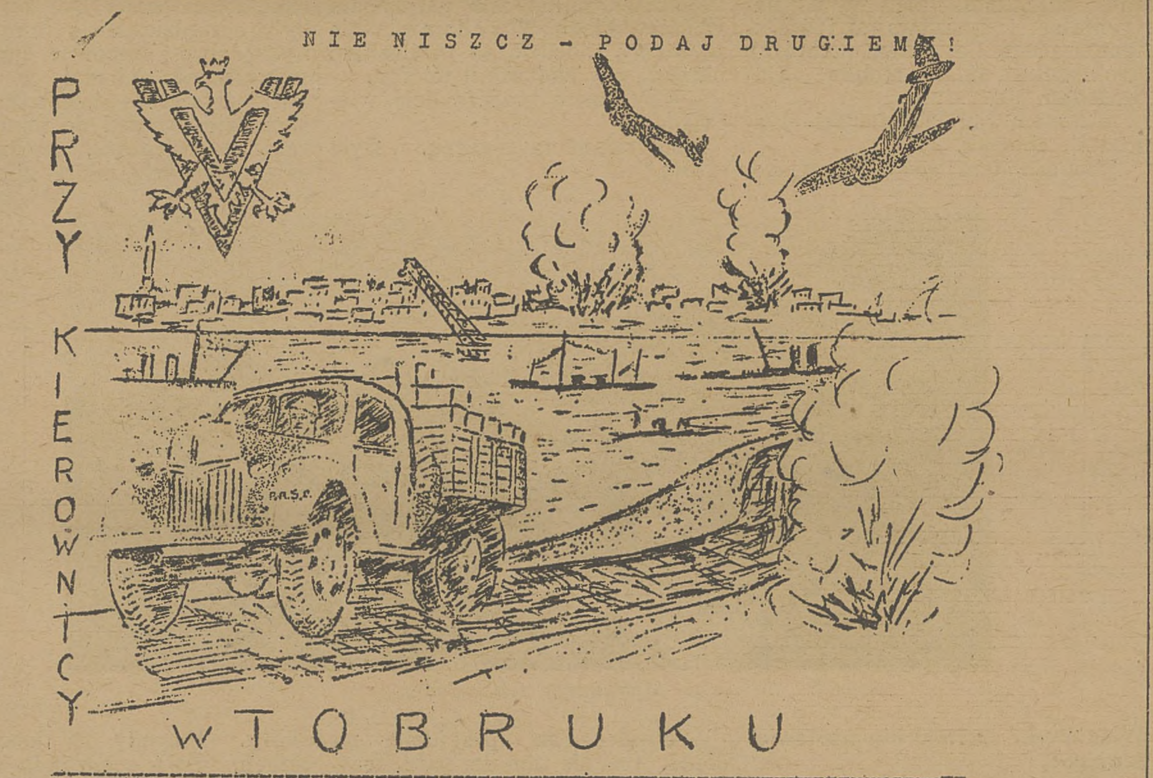
Nasz żołnierz nie lubi bezczynności. Musi stale przy czymś dłubać i coś udoskonalać. To też wszędzie, gdzie kwateruje panuje wzorowy porządek i przybywa komfortu w urządzeniach czy to pojedyńczych czy zbiorowych. Zazdroszczą nam tego inni. Zazdroszczą również zaradności i pomysłowości umiejącej niemal budować pałace na piaskach. Tu jakichś kilka rureczek razem plus bańka z benzyny tworzą domowy wodociąg—tam inny z pustych paczek drewnianych zmajstrował obozowe mebelki. Jeszcze inny miejsce postoju ozdobił wielkim Orłem Białym z betonu, który pewnie już lata świadczyć będzie o tym, iż byli tu żołnierze z pod Jego znaku.

Ponad wszystkim w S.B.S.K. góruje radość, że skończył się czas szkolenia i czekania i że można już bić wroga mocno doskonałą bronią i w najlepszym towarzystwie i pomagać przy przestawianiu zwrotnicy losów wojny.

Sta

W czasie pobytu Naczelnego Wodza w Tobruku gen. Kopański wydał do brygady rozkaz:

"Jesteśmy szczęśliwi i dumni, że Naczelny Wódz odwiedził brygadę w miejscu jej walki w Tobruku. Warunki nie pozwalają na to, by większość z was mogła Go powitać. Witam Go tutaj w waszym imieniu i w imieniu was wszystkich melduję: Brygada Strzelców Karpackich składa i składać będzie nadal bez reszty daninę krwi i sił dla wywalczenia pod Jego przewodem powrotu do wolnej Ojczyzny."



Nr.1 /100/. Dwutygodnik Służby Transportowej S.B.S.K. 10.X.1941 r.

List z Tobruku

Tobruk, 9 października 1941.

Mój Kochany,

przyznam się, że trudno mi zaczynać ten list, pierwszy po 10-miesięcznym pobycie w wojsku. Wprawdzie od czasu do czasu używam jeszcze maszyny do pisania i łatwiej mi to przychodzi, niż parać się piórem, ale jakoś od tego odwykłem.

Wiadomo bowiem, że okres taki stanowi coś w życiu, szczególnie w sytuacji, w której znaczna większość tych miesięcy spędzona jest w pustyni. Kiedyś, gdy jeszcze byłem w kompanii szkolnej w Palestynie, ktoś mi tłumaczył, że pustynia zostawia niezatarty ślad na każdym. I to nie tylko pod względem zdrowia, ale i pod względem wewnętrznym. Teraz, tu w Tobruku—w którym już jestem dwa miesiące—oraz po tych kilku miesiącach mego pobytu w Pustyni Zachodniej, muszę stwierdzić, że to prawda.

Wszystkie rzeczy na świecie nabierają właściwego światła z tej odległości, z której burze piaskowe przysypują nie tylko nas, ale i to wszystko, co pozostało za nami. Wiesz, że byłem zwolennikiem pewnych przerw w życiu normalnym, choćby w formie rekolekcyj, teraz w pełni to oceniam. Zaczynam rozumieć filozofię hindúską, która każe urabiać się każdemu przez udanie się np. po studiach w odosobnione miejsce. Widzisz, nasze życie jest taką wielką pauzą, takimi rekolekcjami. Nie mówię już o tym, że zaczynając od prostego żołnierza i nie widząc możliwości rozwoju, bo szkół podchorążych u nas nie ma,—dostaje się w głowę wielokrotnie i niezawsze spodziewanie. Dotknęło to nas obydwu dobrze i mocno, co zresztą wpływa tylko na wyrabianie mądrości życiowej.

Teraz, tu, w oblężonym mieście, to pozostało za nami. W ustawicznym ogniu i właściwie oczekiwaniu, te różnice, które były zanikają, robią się mniejsze. Rozumiesz, tu równość wobec niebezpieczeństwa jest jednaka. I to nareszcie każdy uznaje.

Pewnie pomyślisz, że bardzo filozofuję, ale co robić, to jest już wpływ pustyni. Ludzie, fakta, przyjaźnie—tutaj nie stanowią niczego, prócz jedynej przyjaźni i koleżeństwa towarzyszy broni. Tutaj przyjaźń ocenia się na podarowanie manierki półsłonej wody. Przewartościowanie ogromne i bardzo zabawne. W załączeniu otrzymujesz dwa numery naszego Pisma. Przeczytasz je i napewno dowiesz się, co to są "wykołowani." Otóż to są tacy weseli ludzie na pustyni. Pewnie mnie łatwiej zrozumiesz.

Jeśli chodzi o konkretne wiadomości o nas, to mamy specjalność wojskową "kierowca." Wprawdzie w operacjach jeszcze przed Tobrukiem należałem wraz z bratem do oddziału, w którym pełniliśmy rolę osłony p-panc. i p- lot., ale teraz Lolek jeździ, a ja trochę jestem przerzucany z zajęcia w zajęcie. Mamy nadzieję, że tak, jak teraz prowadzimy samochody, tak kiedyś będziemy prowadzić czołgi. Trzeba tylko czekać.

Chcesz pewnie wiedzieć co w Tobruku. Wszystko, co wojna przynieść może. Gazetka, którą w dwu egzemplarzach wręczyć ci winna Pani P. resztę powie. Brygada spisuje się wspaniale. Krzyże Walecznych zdobywane są w bohaterskich wyczynach. Co robić, to jest wojna. Kule są wyrabiane poto, by trafiały w ludzi. Duch doskonały panuje w myśl zasady, że nieprzyjaciel strzela a wiatr kule i bomby nosi.

Twój Ludwik

Rosnące ziarna

(Korespondencja własna "Polski Walczącej" z Kanady)

—Ludzie się dziwacznie spotykają na świecie!—westchnął Babuszka między dwoma łykami herbaty.

—Bardzo — powiedziałam z przekonaniem.

Dnie były skaczące jak piłki nieoczekiwanymi spotkaniami. Ot, i teraz, siedziałam w Domu Polskim w Filadelfii. Dlaczego właśnie z Babuszką? I dlaczego właśnie tutaj? Patrząc na tańczący naokoło tłum, myślałam z uciechą, że oni się lepiej umieją bawić, niż rdzenni Amerykanie.

—Muszą jednak istnieć jakieś mikroby radości życia . . . zakończyłam w myśli dyskusję z przed dwóch lat, z przed wojny jeszcze.

Jakiś jeden tancerz wybił się z tłoku. Spojrzałam uważniej. Młody chłopak o jasnych włosach i niewyraźnie zielonych oczach. Na odległość, nie przyjrzawszy się nawet dokładnie, wiadomo było, że na imię musi mieć Jan. Miał na sobie mundur . . . No, właśnie: mundur. Spojrzałam jeszcze uważniej. Czerwona naszywka na ramieniu: "POLAND."

Skończył się ostatnim, tupniętym akcentem oberek i poszliśmy do bufetu. Był tam już Jan otoczony pięcioma sędziwymi i nadskakującymi niewiastami.

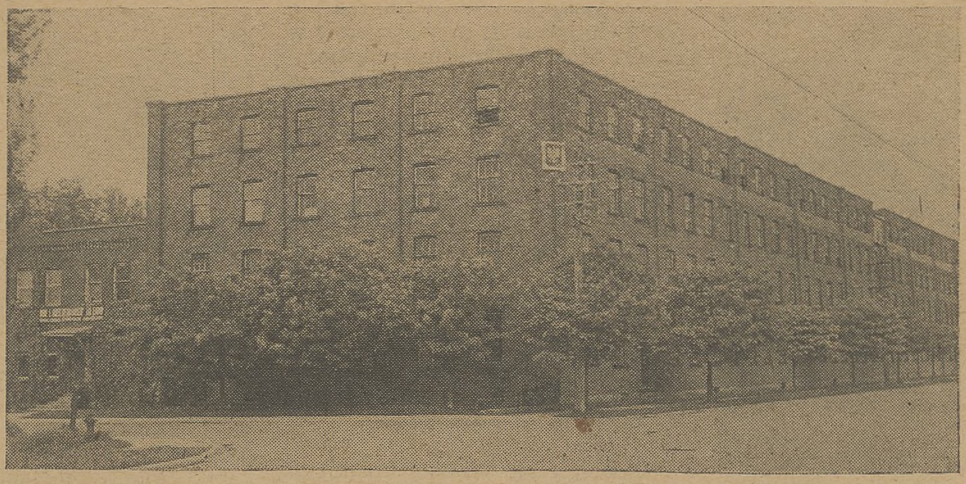
Wpadł zaaferowany i ocierający pot z czoła serdelkowaty mistrz ceremonii.

—Bójcie się Boga, Wiśniewski! Chodźcież prędko i gadajcie! Ludzie czekają na sali!

Ktoś przeszedł szybko, zagarniając w pośpiechu kraj obrusa naszego stolika. Szybkie, niepatrzące "przepraszam." Podniosłam oczy: Wiśniewskiego nie było już przy bufecie. Poprzez stół Babuszka coś mówił, mówił, jak zawsze o "naszej nieszczęśliwej Ojczyźnie," o tym, że "kiedyż my tam będziemy, proszę Pani" i że "proszę Pani tyleśmy przeszli, proszę Pani, ale dla naszego ukochanego kraju, proszę Pani" . . . Grzecznie doczekałam do kropki i wstałam. W sali tanecznej ludzie się skupili naokoło estrady. Chłopak w mundurze stał przy mikrofonie. "Koledzy!" powiedział "Jestem polskim żołnierzem z Kanady."

Nic nie poradzę. Zdławiło mnie coś w gardle na sekundę. Ostatni raz widziałam polski mundur w zimie 1940 roku, w Warszawie, gdy wracali jeńcy zwolnieni z niemieckich obozów. Transportowano ich jak bydło towarowymi wagonami w trzaskający mróz, nieodzianych i głodnych. Tych, którzy dożyli do Warszawy, zegnano w kupę na stacji i pchnięto w miasto. Chromali po lodowych ulicach, ciągnąc, jak zawady, poodmrażane nogi, ręce, ochraniając nieczułe i drętwe z zimna twarze. Ludzie po ulicach płacząc zdejmowali z szyi szaliki, rękawice z rąk, swetry i dawali im wlokącym się środkiem. Ze sklepów wybiegali kupcy, wynosząc co było pod ręką. Byłam z Matką w Czerwonym Krzyżu. Matka miała bochen chleba, któryśmy niosły do domu. Kilku z tych wracających przyprowadzono do lokalu Czerwonego Krzyża. Weszli, śmiertelnie zmęczeni, zaszczuci, nieczuli. Matka odruchowo, machinalnie niemal, podała bochenek chleba najbliższemu. Wziął w rękę i ważył przez sekundę. Podniósł oczy ku Matce. Czyste i mocne, bardzo ludzkie w szczeciniastej, brudnej twarzy. Chciał coś powiedzieć. Otworzył usta. Nie powiedział. Schylił głowę. Pocałował chleb, przeżegnał krzyżem i rozpłakał się. Spłynęła mu w serce dobroć ludzka po miesiącach szczucia.

Tego powrotu nigdy nie zapomnę. Ostatni raz wtedy widziałam strzępy mundurów. A teraz, znowu, jakże inaczej, widziałam mundur z czerwoną naszywką "POLAND." Na estradzie stał jasny chłopak i mówił:



Koszary w Owen Sound

—Koledzy! jestem polskim żołnierzem z Kanady. Nie chcę wam na długo przerywać zabawy. Sam jestem młody i lubię się bawić. Ale bawić się możecie, gdy macie sumienie czyste. Gdy na pytanie możecie odpowiedzieć uczciwie: zrobiliśmy wszystko cośmy mogli. Koledzy! Polska was woła! W Kanadzie tworzy się Polska Armia, aby odpowiedzieć na to wołanie. Tam, w kraju, czekają na nas, myślą o nas. modlą się za nas. W popalonych wioskach marnieją niedożywione dzieci, niszczeje dobytek, panoszy się nędza . . . Koledzy!! Cóż was tu trzymać może? Pieniądze? Dziewczyna? Pieniądze przeminą, a dziewczyna za rok czy za dwa nazwie cię tchórzem, boś nie poszedł.

Naokoło mnie niepewnie pomrukując przestępowały z nogi na nogę Stanley'e, Casimir'y i Walter'y; ubrani po amerykańsku, tańczący po polsku, myślący pół po polsku, pół po amerykańsku, wyrażający kulturalne uczucia po angielsku, a mocne—po polsku.

Siadając przy stoliku pociągnęłam Babuszkę za rękaw:

—Proszę go tu przyprowadzić.

Babuszka zakręcił się niewyraźnie, chrząknął, ale wstał natychmiast i słyszałam go idącego, kłaniającego się; potem podwójny krok zbliżył się do stolika. Odwróciłam się.

—Jestem Jan Wiśniewski—kłaniał się chłopak.

Powiedziałam swoje nazwisko.



Marynarze z Windsoru

Wiśniewski żachnął się niedowierzająco:

—Przepraszam, jak?

Powtórzyłam.

—Panno Marto!—zawołał z wylewem nieznany mi młody człowiek, chwytając obie moje ręce.

—Przepraszam . . . — powiedziałam niepewnie—Czy ja Pana znam?

—Nie zdaje mi się. Ale ja Panią znam. Po zakończeniu walk w Polsce, gdy przeszedłem granicę litewską, mieszkałem przez rok blisko u ciotki. Zacna była kobieta. Chciała mi dać pieniędzy na dalszą drogę; miałem nawet wziąć, wszystkim nam tam pomagano, ale w ostatniej chwili okazało się, że dałem radę i bez tego. No, a pozatem . . . — mały, jasny uśmiech na zaciętych ustach— . . . poza tym jestem zaręczony z Pani kuzynką, Zosią. Widzi więc Pani, że jesteśmy niemal krewnymi.

Rozejrzałam się i zobaczyłam czekające na Wiśniewskiego twarze. Podrywał się już zresztą od stolika.

—Rada będę z Panem pogadać — powiedziałam — Niech Pan przyjdzie jutro na obiad.

—Nie mogę. Jadę na wiec do Baltimore.

—Pojutrze?

—New Jersey.

—Popojutrze?

—Trzy zebrania w Filadelfii.

—No, a potem?

—Generał Duch tu przyjeżdża. Będę musiał z nim być.

—No, dobrze—zgodziłam się potulnie—Niech Pan zatelefonuje i przyjdzie, kiedy tylko Pan będzie wolny. Powie mi Pan dla osobistej przyjemności coś o Zosi, a dla obowiązku o Pomocniczych Oddziałach Kobiecych, które podobno macie zamiar organizować w Kanadzie. Dobrze?

—Doskonale!! — zgodził się entuzjastycznie. Zosieńka . . . — uśmiechnął się.

Tydzień minął nim usłyszałam Wiśniewskiego. Wróciłam właśnie ze szkoły i, ledwo że powiesiłam płaszcz, gdy zadzwonił telefon.

—Czy mogę przyjść dziś wieczór?

Spojrzałam na zegarek. Była szósta.

—Niech Pan przyjdzie na obiad. Coś się tam dla pana znajdzie.

—Nie mogę. Jestem zajęty do 7.30 w lokalu Weteranów. Wyprawiamy jutro rano nowych ochotników do Kanady. Koło 11 muszę być znowu w Domu Polskim. Ale w międzyczasie, jeśli pani pozwoli . . .

—Czekam Pana — powiesiłam słuchawkę.

Poprzez dym papierosowy, pliki rozkazów i instrukcyj, poprzez tekę napęczniałą materiałami propagandowymi, poprzez te pierwsze sztywne zdania o walkach w Polsce, o obecnej pracy, poprzez topniejącą sztywność opowiadania o "Zosieńce, mojej Zosieńce" — dogadaliśmy się nareszcie do Kanady. Jak to po burzliwej wyborczej jesieni 1940, po żmudnym gardłowaniu za Roosevelt'em na wszystkich wiecach polskich, nadeszła ciężka zima, bytowana od centa do centa, chodzona w wytartym palcie, marząca o polskim wojsku. Wreszcie—wieść. Kanada! Jest Polska Armia w Kanadzie. Szybko, szybko, wszystkie nudy formalnościowe. Pociąg. Droga. Granica, uśmiechnięta i przyjazna, spokojna, pierwsza spokojna granica od dwóch lat. Kanada. Spotkanie z pułkownikiem Arciszewskim. Staje pół-na-baczność ochotnik w cywilu. Niezdarnie fałduje się szewiot kurtki w geście salutowania. Patrzy na niego pułkownik Arciszewski długą, milczącą chwilę. Salutuje. Salutuje Janowi i mówi:

—Witam Pana jako pierwszego ochotnika tworzącej się Armii Polskiej w Kanadzie.

Jan otwiera usta w zdumieniu.

—Jakto? Przecież . . .

—Pan jest pierwszym ochotnikiem—mówi pułkownik.—To wielki honor. Gratuluję Panu.

Jeszcze jeden przyszedł. Przez pewien czas byli we dwójkę. Baraki, które miały być koszarami, były odziedziczone z tamtej wojny, sędziwe i szacowne, zmurszałe, zapuszczone, niemal w ruinie. Dwaj żołnierze—Armia Polska w Kanadzie—stanęli do roboty. Od rana do wieczora, co dzień, co dzień, gwoździe, młoty, piły, heble, wióry. Stawały się koszary w oczach. Dwa ochotnicze wariaty pracowały a pracowały . . . Aż wreszcie ochotnik N.2 poszedł do szpitala. Zaczęło się od zaniedbanej grypy, skończyło się siedemnastu komplikacjami.

Jan został sam na długi czas i sam pracował. Od rana do wieczora, co dzień, co dzień, gwoździe, młoty, piły, heble, wióry. Gdy towarzysz był już na wyzdrowieniu, o dzień czy dwa od wypisania ze szpitala, przyszła kolej i na Jana. Baraki stały wyporządzone i piękne. Towarzysz wracał do pracy. Przyszła kolej i na Jana iść do szpitala na parę tygodni. Gdy tam leżał i kwękał, zapełniały się koszary napływającymi ochotnikami ze wszystkich stanów Ameryki, ze wszystkich stron świata. Gdy wyszedł ze szpitala zdumiał się nieznanym twarzom.

—Skądżeś ty?—pytał jednego.

—My som z Detroit—odpowiadała grupa chłopców.

—A tyś skąd?—pytał czarnookiego cudaka o oliwkowej twarzy.

—On z Meksyku, ale po polsku nie goda — splunął pogardliwie Stanley z Chicago.

Chodził Jan naokoło cudując się napływającym falom ludzkim.

—A ty skądżeś?—pytał jasnego osiemnastolatka.

—A ja jezdem z Texas.

—Czegoś tu przyszedł? Co cię pchnęło?—chciał słyszeć.

—Do polskiego wojska chciałem—słyszał wszędzie.

Rósł obóz z tygodnia na tydzień. Pękał Windsor polskimi mundurami. Nowy obóz w Owen Sound wyrósł z dnia na dzień. Pierwsze partie ruszyły do Anglii. "Odsiecz," piękny tygodnik, zaczął wychodzić. Biuro Propagandy ruszyło całą parą filmami, artykułami, fotografiami, kartami, broszurami. Trzynaście narodowości, ludy z całego świata zebrane, musztrowały się podług polskiej komendy.

—Jaki przydział Pan dostał?—pytam Jana.

—Chciałem iść do lotnictwa—mówi.—Przez dwa tygodnie przed badaniem lekarskim nie wziąłem do ust kropli alkoholu, nie wypaliłem jednego papierosa, spałem ile mogłem. Dociągnąłem się do mojej przedwojennej kondycji. Dostałem kategorię A. Przyjęli mnie. Ale niedługo potem dostałem rozkaz jechania do Stanów Zjednoczonych i robienia tam akcji propagandowej. Przyjmowania zapisów i wysyłania ochotników do Kanady, do obozu. Resztę Pani wie; tu właśnie panią spotkałem.

—Cóż z pana treningiem?

—Diabli biorą. W tym właśnie rzecz. Widziała Pani w jakim kotle tu żyję. To nie lekko kłaść się do łóżka o nieludzkich godzinach, palić setki papierosów, mieć czasem i po trzy mowy dziennie do wygłoszenia, tyrać się od Stanu do Stanu, gdy tam koledzy pchają się każdym nowym dniem dalej z treningiem. No, ale cóż . . . nic na to nie poradzę. Rozkaz jest rozkaz i już.

—Pokazywał mi Pan instrukcje generała Ducha w sprawie organizowania Pomocniczych Oddziałów Kobiecych. Czy Pan to już zaczął? Od kiedy?

—Organizacja zacznie się w styczniu. Ja przyjmuję teraz zgłoszenia. Ponad pięćset ochotniczek zgłosiło się już. Z samego Nowego Yorku około trzystu. Czy . . . czy i Pani chciałaby . . . mam na myśli: Czy Pani się zgłasza?

Zgarnęłam materiały propagandowe dane mi przez Wiśniewskiego. Myślałam o Wieczorze Polskim, który organizowałam w szkole na rzecz Polskiego Funduszu Ratunkowego; o akcji pomocy obozom jenieckim, zaczętej jeszcze w zeszłym roku; o szykującym się odczycie na uniwersytecie; o piśmie szkolnym ze stałą kolumną o Polsce. I o tym, że miałam jeszcze przeszło pół roku do skończenia szkoły, do graduacji i otrzymania mego dyplomu. Przez sekundę ważyłam to wszystko.

—W czerwcu będę w Kanadzie . . . — powiedziałam — Muszę skończyć tutaj zaczętą robotę.

Wiśniewski uśmiechnął się.

—Tam panią dopiero zapędzą do roboty! . . .

—O.K. — odśmiechnęłam się — Będę wam skrobać kartofle.

Uścisnęliśmy sobie ręce serdecznie. Jedna więcej myśl nas złączyła, jedna więcej nić braterstwa—Polska Armia w Kanadzie.

Marta Łużycówna



Historyjka rysunkowa Mariana Walentynowicza p.t. "Jedyne wyjście" przeznaczona dla prasy amerykańskiej.

Listy zza mórz

Z Meksyku

México, D.F. 5 listopada 1941.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą przyjemnością odebrałem list Pański z dn. 4 ub. m. Stosownie do życzenia, załączam obok artykuł pt. "Meksyk a Sprawa Polska i Demokracja Walcząca." Są to skromne obserwacje z tego dalekiego kraju, który okazał tyle serca dla narodów walczących i nie zawahał się nawet udzielić azylu dla pewnej liczby polskich uchodźców politycznych. Obydwa kraje, mimo różnic rasowych i kulturalnych, posiadają dużo wspólnych cech w swej historii, gdyż powiązała je ta sama, święta walka o niepodległość.*

Dziś właśnie, wpływa to dodatnio na oficjalne ustosunkowanie się Republiki Meksykańskiej wobec tragicznych wypadków europejskich, na jej szlachetną postawę tenieuznawania żadnych podbojów terytorialnych, dokonanych przemocą. Swym zdecydowanym stanowiskiem, Meksyk może służyć za przykład całej Ameryce Łacińskiej, w której podskórny osad długoletnich wpływów propagandy totalitarnej, pozostawił jeszcze wyraźne ślady. Meksyk jest obecnie mocnym wiązadłem politycznej współpracy z U.S.A., gwarantując tym samym bezpieczeństwo kontynentalne całej Ameryki Północnej, od śniegów Alaski po tropikalne puszcze Yucatanu—jakkolwiek pojęcie to chętnie pragnęlibyśmy rozszerzyć aż po Ziemię Ognistą, najdalszy zakątek Ameryki Południowej.

Zupełnie przypadkowo otrzymałem niedawno numer morski "Polski Walczącej," który jako długoletni mieszkaniec Wybrzeża, czytałem z prawdziwym wzruszeniem i zainteresowaniem. Szczerze gratuluję Panu inicjatywy oraz źródłowości tego numeru. Potrafi to najlepiej ocenić człowiek, który sam redagował pismo morskie. Wśród autorów artykułów odszukałem z łatwością mych przyjaciół, kolegów po fachu, którym tą drogą przesyłam serdeczne pozdrowienie.

Gdy na miesiąc przed wybuchem wojny opuszczałem Gdynię, nic nie zapowiadało jeszcze zbliżającej się tragedii, jakkolwiek żywo komentowaliśmy już wówczas burzliwe wypadki gdańskie z mym przyjacielem z Komisariatu Gen. w Wolnym Mieście. Straszna wiadomość o niemieckim bombardowaniu Polski, spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba w czasie wykładów międzynarodowych na Uniwersytecie w Lund, gdzie znajdowałem się dla specjalizacji w zagadnieniach skandynawskich. Przerwana komunikacja morska z Polską zadecydowała szybko o mym losie. Przemierzam wówczas ziemię Wikingów wzdłuż i znajomość szwedzkiego języka ułatwia mi podjęcie na własną rękę akcji prasowej w obronie Ojczyzny, początkowo w Szwecji, głównie jednak w Norwegii. Półroczny ten pobyt w Skandynawii, którą już od szeregu lat uważałem za mą drugą ojczyznę, przyczynił się atoli do poważnej rewizji mych poglądów na ten kraj. Dziś, pod wpływem srogiego ucisku oraz rozczarowań, zmieniło się niewątpliwie wiele. Wówczas jednak krótkowzroczne władze norweskie, zapewne pod wpływem co raz to nowych wystąpień prasowych w Oslo i Bergen, nie mogły mi darować pobytu na ziemi św. Olafa "zachęcając" do powrotu via . . . Berlin.

Po prostu cudownym zbiegiem okoliczności, zamiast do Was, jak pierwotnie zamierzałem—wylądowałem w Ameryce Łacińskiej. Nie zagrzeję tu zapewne długo, jako zgłoszony, jeden z pierwszych ochotników, do Legionu Polskiego w Kanadzie. Tymczasem składam i tutaj mą skromną cegiełkę dla Wspólnej Sprawy, a ostatnio nawet udało mi się zorganizować cykl wykładów o Polsce i kulturach słowiańskich, pierwszy w historii Uniwersytetu Meksykańskiego, liczącego 400 lat swego chwalebnego rozwoju (najstarsza placówka naukowa Nowego Świata!) Wygłosił je zaprzyjaźniony slawista, Prof. Dr. A. P. Coleman z New Yorku, składając w ten sposób hołd 100-ej rocznicy wykładów słowiańskich Adama Mickiewicza w Paryżu. Inicjatywa ta pozwala dziś mówić o utworzeniu tu katedry języka polskiego i literatury słowiańskiej, które Uniwersytet obiecuje utworzyć już w r. 1942. Inicjatywa prywatna ma tu duże pole do pracy, gdyż teren ten był zawsze zaniedbany, nawet w naszej literaturze emigracyjnej. Z tego to względu, poza wydaną tu niedawno własnym kosztem broszurą hiszpańską pt. "Polonia y el Equilibrio Europeo," opracowuję z własnej inicjatywy monografię o Polakach w Meksyku i Ameryce Środkowej, która przedstawi sensacyjny wprost udział polski w kulturalnym i zbrojnym wysiłku tej zapomnianej części Ameryki Łacińskiej.

Załączam miłe pozdrowienie i wyrazy szacunku,

Edmund Stefan Urbański

*Będzie drukowany, w jednym z najbliższych numerów.

Z Chin południowych

W. P. Redaktor
"Polski Walczącej"

Fungling, 6 czerwca 1941 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowny Panie Redaktorze,

Trochę z bijącym sercem piszę ów list, wysyłając całą zawartość koperty do dyspozycji Wydawcy. Tak, bo piszę do nowej Polski na obcej ziemi. A dlaczego w sam raz do Pana? Przecież tam i inne są pisma. Owszem, ale się zdecydowałem wysłać do Pana, do "Polski Walczącej," bo chcę należeć do walczących.

Może zaskoczy list aż z tak daleka. Jak świat szeroki, tak na nim rozrzucony naród Polski. W tych czasach szczególnie. W każdym zakątku spotkać można Rodaka. Chyba nie będzie nic dziwnego, że i ten list dojdzie do Jego rąk.

Zamiar napisania, wysłania czegoś do redakcji nie od dziś powstał. Do Francji miałem napisać, ale niestety tam nie można było zagrzać miejsca. Dziś robię to, wysyłając do Anglii. Może artykuły zbyt obszerne, może się nie nadadzą, nie aktualne, nie na czasie, może nie odpowiedzą duchowi czy też programowi Wydawcy. Nie wiem, zostawiam do woli Jego. Ot, tak, mając już dawno przygotowane te rzeczy, niektóre rok temu, dopiero teraz się zdecydowałem posłać tam do nowej Polski. Gdzie indziej, jak do Ameryki też rok temu jeden z nich wysłałem. Może przy okazji rocznicy sierpniowej, jak to co roku się obchodzi będzie można coś użyć z tego.

Pracujemy tu na południu Chin w Chekiangu, prowincji. Jest nas Polaków tu 10. W pracy swej ustawicznie skierowujemy wzrok do stron, w których się organizuje nowe życie, gdzie się składa w ofierze niejedno młode życie, gdzie z taką brawurą żołnierz polski niesie wysoko swój sztandar pod wodzą odnowiciela Polski, gen. Sikorskiego. To nas raduje i z każdą chwilą oczekujemy wieści. Posyła je nam ambasada z Tokio. Co tam dostaną, przesyłają nam. Widocznie dobrze rozumieją nasze zapotrzebowanie duchowe.

Jedna prośba. Wyczytałem, że są ochotnicy korespondowania. Żołnierze, czy też inni Rodacy są tego ochotnikami. Ze swej strony też chciałbym nawiązać łączność, ale z kim? Gdyby się znalazł jakiś ochotnik, może jaki kapelan, może ktoś z tamtejszej Polonii byłoby mi radosne. Nam wszystkim byłoby to radosne, bo bym się dzielił wieściami, życiem tamtejszym, polskim z resztą tu przebywających.

Gdy otrzymam odpowiedź postaram się z mej strony coś więcej podać na życzenie Redaktora.

Przesyłam moje najserdeczniejsze pozdrowienia całej Redakcji, Panu Redaktorowi, jak i jego współpracownikom.

Szczerze życzliwy
z głębokim szacunkiem

ks. Feliks Stefanowicz

Catholic Mission, Wenchow,
Che. China

Z Nowej Zelandii

Wellington, 15 września 1941.

Drogi Panie,

Co parę tygodni specjalnie myślimy o Panu; gdy przyjdzie t.zw. "mail" z Europy i rzucamy się wszyscy na "Polskę Walczącą," by przeczytać ją od deski do deski. By zanurzyć się w to wszystko, czego nam tak brakuje tu—i czego jako żywo mieć nie możemy. A także odczuć sprecyzowanie co Wy tam, to jest Pan i jego współpracownicy w imieniu wielu tysięcy myślicie. I by powiedzieć krótko: dobrze tę myśl oddajecie, jakeście ją oddawali w Paryżu i od początku pobytu na Portugal St. Nie bardzo oczekuję listu od Pana—znamy się mało, Pan jest w Londynie, który może być znowu strasznie bombardowany, gdy ten list dojdzie Pana, Pan ma na głowie tyle rzeczy . . . Może Pan niema kawałka niedzieli, jak ja, gdy zawieszam pracę i myślę o Was a przez Was, jeszcze dalej do Kraju, tak bardzo daleko poprzez nie zadługo dwa lata, gdyśmy Go upuścili . . .

Ale o to mniejsza. Myślę, chciałby Pan więcej wiedzieć o tym kraju, gdzie los najdalszym chyba rzutem strzelił nas w tę "bramkę," a bardziej jeszcze o tym co się tu robi, co się dotąd dokonało. Może przyda się skromny przyczynek, który załączam i który może powiedzieć Czytelnikom "Polski Walczącej," że sprawa Polski zbliżyła się, zresztą nie tylko do kół b. żołnierzy, ale w wielu bardzo innych kołach do wyobraźni i realnej rzeczywistości nowozelandzkiej.

Jestem w trakcie organizowania kolonii polskiej na tym terenie i jedną z pierwszych rzeczy jaką chcę przeprowadzić byłaby pomoc przesyłana naszym żołnierzom, tym zwłaszcza, którzy są "najbliżsi" nas i najbardziej sami, na Bliskim Wschodzie; pertraktuję zresztą w tej materii również z kołami nowozelandzkimi, które pod wpływem coraz liczniejszych wzmianek w prasie i słysząc o tym na odczytach, chcą część t.zw. "comforts" i dla wojsk naszych przeznaczyć.

Cóż Panu napisać o tym dziwnym kraju, którego naprawdę jeszcze nie widziałem, gdyż od rana do wieczora pracujemy oboje z moją żoną nad naszymi odczytami, prasą i t.p. Co wieczór i co rano mam to uczucie, że muszę sobie specjalnie zasłużyć na cenny spokój i jedzenie, które dostaję. jak największym wysiłkiem, jaki ze siebie mogę wydać. Kraj jest piękny, ludzie są mili, choć dziwnie ospali pod wielu bardzo względami, deszcz pada mniej więcej co drugi dzień, a może nawet co półtora dnia i jest na ogół mało co cieplej, niż w chmurnym Albionie. Poza tym szalona drożyzna, o której nie macie pojęcia w Londynie, nazwijmy ją kolonialną.

Proszę nie zapominać całkiem o nas, i przyjąć oddany uścisk dłoni.

Kazimierz Wodzicki

Z Wysp Filipińskich



Manila we wrześniu. 10-41.

Wydawnictwo Gazety, "Polska Walcząca," w Londynie — 5, Portugal Street, W.C.2.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze.

Zdziwi się Szanowny Pan Redaktor, że taki właśnie list otrzymał—z Dalekiego Orientu—z Wysp Filipińskich. Tak się właśnie złożyło, że kilkanaście, N.N. "Polski Walczącej" doszło do rąk Polaków Filipińskich—ja właśnie otrzymałem i rozesłałem po wyspach i wysepkach, gdzie tylko są Polacy.

Orient,—dziki, czarowny Daleki Wschód i tysiące Wysp Archipelagu Filipińskiego; Wyspy Filipińskie—posiadają tylko: 7.800 wysp i wysepek. Klimat tropikalny, ale dość wytrzymały. Polaków jest tu dużo—tych co to jeszcze do wybuchu wojny obecnej tu przybyli, zaś kilku zaledwie, co przybyli teraz już po zniszczeniu Państwa Polskiego przez wrażą nam Hakatę i Teutonów. Do tych starych osiedleńców Polaków ja sam należę ale dla Niej, dla Polski i Polaków na Dalekich Krańcach Świata pracowałem. Nie sądzonym mi było oglądać Wolną Najjaśniejszą, Tę, co z niewoli i jarzma tyranów powstała.

Tęskniliśmy i modliliśmy się za Polskę i za Walczącą Armię Polską. Dziś spotkał nas Polaków los straszny—Polska została zniszczona, spalona, jak nigdy przed wiekami, a Naród Polski rozleciał się po szerokim, obcym nam świecie i cierpi straszną niedolę.

O tym, Broń Boże, pisać nie chcę, wszak wiemy o tym wszyscy, ale tak oto mili i ukochani i drodzy Rodacy i Ukochani Nasi Polscy Żołnierze tak oto chcę z Wami pogawędzić, bodaj dać Wam znać, że są Polacy wszędzie we wszechświecie, ci, co Was kochają. I serca nasze, zawsze z Wami i Wam są oddane.

Dziś pogrążeni w ciężkiej żałobie—po utracie Ojczyzny, po stracie najdroższych nam ukochanych istot: Ojców, Matek, Braci i Siòstr i, wobec miliona cierpiących niedolę naszych maluczkich, polskich Sierot, debatujemy, myślimy, cierpimy moralnie z nimi i stale myślami jesteśmy z Wami—wy Ukochani Obrońcy Ojczyzny Naszej i Waszej. Kochamy Was—myślimy o Was stale, a Wasze bohaterskie czyny dają nam nadzieję, że Polska Najjaśniejsza Rzeczpospolita znowu powstanie i będzie Wielką, Wspaniałą, bo z prochów i krwi Poległych w obronie Polski i Warszawy już się zrodzili mściciele.

Cześć Wam Ukochani Nasi Polscy żołnierze. My Filipińscy Polacy, co to Polski nie znali pozdrawiamy Was i poprzez szerokie, olbrzymie przestrzenie wód i Oceanów ślemy Wam serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni serdeczny. Niejeden z nas tutaj, chciałby być z Wami. W każdym z nas się krew nasza polska burzy i buntuje. Zazdrościmy Wam, że macie szanse odemścić się za krzywdy Narodu Polskiego—za Warszawę—za Ojców—za Matki—za Braci—za Siostry—za dzieci polskie. Wielu z nas chce być z Wami, a tęskniąc tylko, was pozdrawiamy. Jesteście Nasi Ukochani—wszystkie najlepsze uczucia nasze są z Wami.

A teraz cośkolwiek na czasie, co Was interesować może, jak żyją Polacy w Tropiku, co robią i czym się zajmują.

Oto co robią Polacy na Wyspach Filipińskich. Zaznaczam, że farmerów-rolników nie ma—klimat tropikalny naszym polskim rolnikom nie odpowiada. Tu plantują, sadzą ryż, kukurydzę, trzcine cukrową, kawę i tak zwaną Abake, drzewa, z którego robią włókna, a z tych włókien powstają sławne sznury i liny okrętowe. Są w tych gałęziach zatrudnieni Polacy, ale jako przemysłowcy i kupcy. Poza tym Polacy pracują w kopalniach złota, miedzi, żelaza, manganesu, chromium i innych. W tych gałęziach przemysłu są właśnie Polacy.

Trudno jest powiedzieć, ilu nas jest—Polaków na Filipinach. Rozległość i rozrzucenie Wysp nie pozwala na skoordynowanie to jest obliczenie, lub spis. Ja tu lat dwadzieścia siedzę i sam nie wiem, ilu nas jest Polaków, pomimo nawet tego, że lat siedemnaście jako Korespondent Konsularny pracowałem i starałem się zbadać dokładnie ilość Polaków, jednak to mi się nie udało, bo stale podróżując po Wyspach napotykam wciąż nowych, nieznanych mi Polaków. Wszyscy mówią doskonale po polsku.

Mamy polską, dość bogatą bibliotekę, a w niej właśnie polskie gazety, z Londynu ktoś nam przysyła—ot i o Was czytamy.

Cześć Wam Ukochani nasi Polsy Żołnierze, Cześć Wam, Ukochani Polscy Marynarze, Cześć Wam Ukochani nasi Polscy Lotnicy—ach—jak Was kochamy, Tych z Royal Airforce, szczególnie naszą eskadrę 303. Czytamy o Was tutaj w angielskich gazetach i biuletynach wojennych i jak nam się dusze śmieją i radują za czyny Wasze. A będąc w przestworzach—nad Berlinem czy Hamburgiem—kiedy się wzbijecie w powietrze, pomyślcie o nas, że miliony Polaków na ziemi są z Wami, miliony się modli szczerze za Was i błogosławi Was, miliony polskich serc na całym świecie, nie wyłączając tropikalnych Krajów. Jesteście nasi ukochani, jesteście naszym życiem duchowym, naszą podporą, naszym marzeniem, naszą radością, naszą nadzieją.

W rękach Waszych, drogich nam spoczywa inicjatywa zemsty—za krew polską niewinnie przelaną—za Polskie Kobiety, nasze Matki i siostry ukochane—za Dzieci Polskie. Niech Wszechmocny Was błogosławi i ręką Waszą kieruje. Wy nasza Chluba—nasza Otucha—Wy bądźcie mścicielami naszymi. Nic więcej Wam dać nie możemy, jak tylko polskie, gorące serca nasze i uczucia miłości szalone. Pamiętajcie, że stale i zawsze i o każdej porze myśli nasze i uczucia są z Wami.

Raz jeszcze Was pozdrawiam w imieniu Polaków Filipińskich. ściskam was i pozdrawiam. Cześć Polskiej Armii, Cześć Polskiej Flocie, Cześć Polskiej Sile Powietrznej.

Oddany Wam Polak, co to Polski nie znał.

Władysław Sielski

Ze Stanów Zjednoczonych

Kochani Polscy Lotnicy,

Nie znając was wcale, ale czytając "Dziennik," dowiedziałam się, że Polscy Lotnicy w Londynie proszą o korespondencję z Amerykanami, więc ośmielam się pisać do Was, aby Was tam pocieszyć i dodać otuchy do dalszej pracy i abyście wytrwali na zawsze.

W dalszym ciągu mego listu może trochę lepiej się poznamy. Na razie chcę Wam pogratulować Waszej pracy i Waszych dzielnych czynów. Można tu nadmienić, że Polacy są odważni i chętni do pomocy dla naszej ojczyzny, która jest w wielkiej potrzebie, aby była wolna. Nie ustawajcie! Czyńcie, co jest w Waszej mocy a my będziemy prosili Pana Jezusa o pomoc dla Was.

Bardzo bym Was prosiła, abyście mi coś o Was napisali jak tam pracujecie. U nas tu fabryki robią dniem i nocą, aby nadrobić rzeczy, które są tam potrzebne u Was. Używajcie ich z pomocą Boską.

Powietrze tu jest bardzo ciepłe, chociaż też parę dni w tygodniu padają deszcze. Wszystkie rośliny się otwierają i kwiatki kwitną prześlicznie. W około wesoło i przemile. A Wy biedacy nie możecie tam zażywać rozkoszy, bo nie ma gdzie i czas na to nie pozwala. Trzeba pilnować nieprzyjaciela z wszystkich stron.

Dziś obchodzimy święto Bożego Ciała. We wszystkich polskich parafiach, których tu jest bardzo wiele, odbywały się publiczne procesje po ulicach. Zgromadzony lud gorąco się modlił do Pana Jezusa przy pięciu ołtarzach o pomoc dla naszej nieszczęśliwej Polski.

Teraz co się tyczy dla Was o mnie. Ja jestem Amerykanką polskiego pochodzenia, z którego się szczycę. Mam lat 21 (dwadzieścia jeden) i urodzona byłam w prześlicznym miesiącu maju. W domu jest nas pięcioro oprócz Mamy i Taty. Mam siostrę starszą i dużo młodsze ode mnie i brata, który jest najmłodszy w rodzinie i liczy 14 lat. Należymy do polskiej parafii pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Buffalo, gdyż w Depew jest polska parafia pod tym naszym imieniem. Jest to mała parafia i kościółek drewniany, ale lud się garnie modlący. W domu, my starsze pracujemy na utrzymanie rodziny i to w domu, który jest nasz własny.

Ja jestem 5 stóp i 5 cali wysoka i ważę około 125 funtów—jeśli to Was interesować będzie, bo tu chłopcy na to patrzą, żeby dziewczyna była nie za gruba i zgrabna.

Teraz myślę, że już na mnie czas skończyć, gdyż może Wam się sprzykrzyło czytać.... Na drugi raz napiszę więcej i przyślę moją fotografię, jeśli tego zechcecie. Teraz Was serdecznie proszę o odpis i piszcie do mnie wszyscy a ja Wam odpisywać będę chętnie. Jeszcze raz proszę o prędki odpis. Zostaję

Antonina Król,
229, Howard St., Buffalo, N.Y.

POLSKIE ŻARNA

Rzecz pisana do zbiorowej książki o bohaterstwie kobiet krajów sprzymierzonych w czasie obecnej wojny. Książka ta ukaże się w Stanach Zjednoczonych w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy. Przedmowę do niej napisała pani Roosevelt, żona Prezydenta Stanów.

SPOCZNIJ SOBIE

W łacińskiej księdze fundacyjnej pewnego klasztoru na Śląsku znajduje się pod datą “rok 1276-y” jedno zdanie polskie. Brzmi ono: “Pozwól, niech ja pokręcę żarna, ty zaś spocznij sobie.” Mówi tak do żony mąż—chłopek.

Przytoczona wyżej sentencja uważana jest przez filologów za najstarszy zabytek pisanej polszczyzny.

Od chwili, w której chłop polski zamknął w niej czułość dla słabszej istoty, zmieniały się w Polsce nieraz pisownie i style. Ale stosunek Polaka do towarzyszki życia nigdy się nie zmienił. Czy w pałacu, czy w chacie, trud kobiecy zawsze wywoływał w mężczyźnie współczucie. Pan domu pragnął widzieć w jego gospodyni raczej swój najcenniejszy klejnot, niż sługę. Renesansowi kaznodzieje narzekali na “zbytek strojów białogłowskich,” osiemnastowieczny satyryk żartował z “żony modnej,” gadka ludowa przestrzegała, że “gdy chłop baby nie bije, to w niej wątroba gnije.” Jednak Polska nigdy nie przestała być królestwem kobiety, a współczesne państwo polskie obdarzyło ją pełnią praw obywatelskich.

Traktowane tak po ludzku, Polki wyrosły na ludzi. Dość niezaradne w pospolitych sprawach, polubiły sprawy trudne i często kochają Polskę więcej, niż Polaków.

Dlatego dotąd pozostała im bliska ta średniowieczna dama, która—w obronie twierdzy granicznej—kazała mężowi strzelać do własnych synków—zakładników, niesionych na czele oblęgających wojsk.

— — — — — — — — — — —

ZOFIA WYPRAWIA MĘŻA I SYNA

Oficer rezerwy, człowiek czterdziestokilkoletni, dobroduszny mieszczanin, wrócił do Warszawy po przegranej kampanii wrześniowej. Jak tragiczny, niezmordowany, jak skuteczny był jego udział w tych nierównych walkach wynika z treści pamiętnika. Mało on tam mówi o sobie, lecz fakty same mówią za niego.

Łaska Boża sprawiła, że na zburzonej ulicy zastaje dom swój cały. Już w bramie rzuca mu się w objęcia jedyny syn, czternastoletni. Okien w mieszkaniu nie ma, w mieście szyby są tylko dla Niemców; tylko dla Niemców jest węgiel, chleb i wszystkie dary polskiej ziemi. Ale żona żyje, dziecko żyje. Żyją jacyś sprytni kuzyni i zamożni wujowie, nadzieja żyje w sercach—i tak oto nawraca byt ludzki do swojej elementarnej zasady: walki z głodem.

Kiedy po nocach słychać z pobliskiego dziedzińca strzały Gestapo i wycie torturowanych, rodzina tuli się do siebie—ciepło drogich ciał pozwala przetrwać koszmar. A w dzień, tysiączne kłopoty wypełniają czas. Mężczyzna zaczyna się przystosowywać. Na ruinach urzędniczej kariery kleci sobie nowe zajęcia, cele i nałogi. Zima wkrótce przesili się w wiosnę: może jednak czeka gdzieś jeszcze okruch szczęścia?

O zmierzchu siedzą czasem z żoną bezczynni. Kobieta przenosi wzrok zza okna w oczy męża . . . Wtedy to spojrzenie surowo o czymś przypomina.

Niebawem w mieszkaniu zjawiają się mapy, kompasy, nieznajomi ludzie, nazwy nieznajomych wiosek granicznych . . . Kobieta zbiera po kawałku suchą kiełbasę i suchary.

Nastaje wreszcie dzień, w którym starszy pan, zaopatrzony w fałszywe dokumenty, w pożyczone pieniądze i w magiczne hasła ma odejść za granicę. Żaden urząd mu tym razem karty powołania nie przysłał. Jednak ktoś powołał go znowu na służbę.

Kobieta krząta się po pokojach. Syn jej pomaga. Syn, który—ucząc się i bawiąc teraz w domu—wyrósł na nieodłącznego towarzysza.

Po obiedzie we troje piją herbatę. Ojciec przerywa milczenie:

—Proszę cię, zastanów się, póki jeszcze czas, czy ty tutaj sama wytrzymasz. Zastanów się, czy ty wytrzymasz bez dziecka.

Matka odwraca głowę.

—Tak—odpowiada—ja wytrzymam. On już przestał być dzieckiem. On *tam* będzie więcej potrzebny.

— — — — — — — — — — —

W pamiętniku oficera w tym miejscu jest plama od łez. Później opis dwukrotnej przeprawy na piechotę przez góry zawalone śniegiem, pod kulami żandarmów—na węgierską stronę.

A jeszcze później taki ustęp:

“Zofio. Żono moja. Najlepsza moja duszo. My tutaj teraz obaj—twój mąż i twój syn—na wolności. Idziemy do polskiego wojska. Ale ty? Jakże zimna ta ściana, o którą w nocy bije twoje serce, kiedy Warszawianie krzyczą męczeni przez Gestapo!”

— — — — — — — — — — —

CZEGO BOI SIĘ ZOFIA DLA MĘŻA I DLA SYNA

Raporty ludzi, którzy przez zieloną granicę przybyli do naszej armii we Francji, potem w Anglii, są lekturą bardziej wstrząsającą od najbardziej dramatycznych przygód Dalekiego Zachodu.

Przez wiele jeszcze wiosen topniejące śniegi górskie będą odsłaniały trupy polskich przemytników wolności; a między nimi niejeden zabieleje szkielet małoletniego chłopaka. Przełęcze i żleby Karpat—stare ścieżki zbójnickie—przemienione zostały w Golgotę.

Zofia to wiedziała. Nie kto inny, jak ona, chodziła na tajemne schadzki z emisariuszami, nie kto inny słuchał ich przestróg i wskazówek.

Przez niezliczone godziny—zapadanie po pachy w śnieg przy każdym kroku. Pot marznący na czole i płomienne noże w kiszkach. Maligna w lesie tak pustym, że trzask gałęzi idzie po nim, jak wystrzał. Cień obcy za krzakiem, który miał osłonić pierwszy wypoczynek . . . To są nielekkie tortury.

Zofia nie bała się tortur dla męża i syna.

— — — — — — — — — — —

Latem 1940-go roku przyjechała z Polski młoda kobieta, posiadająca obywatelstwo amerykańskie. Jej mąż brał udział, jako porucznik, w kampanii wrześniowej.

W drugiej połowie października 1939-go roku zaczęli napływać do domów i do zgliszcz po domach, uczestnicy nieszczęśliwej wojny. Z dnia na dzień chodziły wieści: “Andrzeja wypuścili z obozu . . . Paweł wrócił . . . Widziałem Tadeusza . . .” Na ulicach zjawiły się wychudłe, brodate, często kalekie postaci dawno niewidzianych przyjaciół.

Znajoma moja czekała sześć tygodni. Na początku siódmego wzięła plecak i puściła się w drogę . . . Chodziła trzy miesiące. Od wioski do wioski, od miasta do miasta. Omijając koleje i autobusy, omijając godziny policyjne, chroniąc się do rowów i do kloak na pierwszy dźwięk niemieckiego słowa. Cała zamieniona we wzrok i w słuch, przetrząsała Polskę kąt za kątem. Do niektórych miejsc powracała. Wtedy dzieci bez uśmiechu patrzyły na nią z progów i mówiły: “nie ma.”

Wreszcie dowlekła się znowu do Warszawy od strony Siekierek. Padła na pierwsze zaofiarowane łóżko. Po chwili—z nawyku—wyrzekła swoje zapytanie: “Czy nie widział tu kto porucznika Zet. z I-ego Pułku Strzelców Podhalańskich?”

Tak. Tam właśnie go widzieli. Tam przechowywali jego tornister z papierami i z jej fotografią. Stamtąd zabrali go szturmowcy na rozstrzelanie razem z setką innych mężczyzn za to, że w sąsiedniej knajpie ktoś pijany zatłukł Niemca butelką.

Podróżnica nie od razu miała siłę opuścić Polskę. Mówiąc ze mną, przerywała często zdyszana, i bałam się, że mnie z kolei zapyta: “Czy nie widział tu kto porucznika Zet z I-go pułku Strzelców Podhalańskich?” Nie zapytała. Natomiast wzięła mnie za rękę i rzekła:

—To nie jest najstraszniejsze. Straszniejsza jest sprawa Adama. Adam nawet na wojnie nie był. Adam nic jeszcze nie zdążył dla Polski zrobić. A zginął dlatego, że jego żonie zachciało się bardzo pić.

Pomyślałam, że moja biedna znajoma cierpi na rozstrój umysłowy. Ale okazało się zaraz, że mówi prawdę:

Adam nie doczekał zmobilizowania we wrześniu. Fabryka, w której uprzednio pracował, poszła w ruch po ukończeniu działań wojennych. Pozostał na posadzie.

Odurzony miłością do młodziutkiej żony, usiłował nie widzieć, nie rozumieć potwornej metamorfozy dokoła. Nadeszło lato. Kajak ocalał na przystani. Niedziele spędzali na kępach wiślanych, gdzie czajki po dawnemu krzyczały i życie wydawało się zależne tylko od słońca i księżyca.

Któregoś wieczora wracali przez Grochów. Ona zatrzymała się przy sklepiku z wodą sodową.

—Nie pij tu nic—powiedział—patrz, jakie brudne szklanki.

—Muszę się napić.

Stanęli przy ladzie.

Po chwili w uliczce wrzasnęły syreny ciężarówek, zadudniły buty, trzasnęły bramy . . . Obława na mężczyzn.

Wzięli Adama. Ona została z niedopitą lemoniadą w ręku.

W miesiąc później otrzymała z obozu “pracy” w Niemczech urnę z popiołami.

—Ja tu przyjechałam . . . —mówiła znajoma—ja przyjechałam tylko po to, żeby wszystkim powiedzieć, którzy jeszcze nie wiedzą, że najstraszniejsze jest, kiedy człowiek mógł umrzeć *za coś*—a umarł z przypadku. Niezaliczony na dobro Wielkiej Sprawy.

— — — — — — — — — — —

Rozumiecie teraz czego bała się Zofia dla męża i dla syna.

— — — — — — — — — — —

CZY POLSKIE KOBIETY BOJĄ SIĘ DLA SIEBIE RYZYKOWNYCH PODRÓŻY

Gdy rozejrzeć się wśród polskiej emigracji wojennej, nie wiele widać kobiet. Czy one boją się trudów nielegalnej podróży?

Niedawno obiegła prasę całego świata historia sztandaru, wyhaftowanego w jednym z miast polskich i dostarczonego naszym lotnikom do W. Brytanii.

Jeszcze z Francji dał pewien oficer znać przyjaciołom do Wilna, że lotnicy nasi pragną posiadać sztandar, poświęcony w kraju. Było to owej pierwszej wojennej zimy, kiedy Europa, dzięki Polsce, korzystała z półrocznego “kwadransa łaski,” mogła mobilizować się i zbroić. W Coëtquidan, w Lyonie i jak się tam jeszcze nazywały polskie obozy—wrzała reorganizacja. Żołnierze z tych obozów zmienili pole bitwy, ale nie zmienili celu swego życia. Do dalszej walki o wolność potrzebny im był — oprócz broni — znak od swoich, że nadzieje swe nadal z nimi wiążą.

List oficera nielada zadanie postawił przed mieszkankami zbiedzonego miasta. Najeźdźcy dawno zarekwirowali po sklepach wszelkie cenniejsze tkaniny. Tkaniny o barwach narodowych dawno wdeptali w błoto. Za przechowywanie godeł patriotycznych /za ich wyrabianie tym bardziej/ groziły ciężkie kary. Jednak znalazły się i brokaty, i srebrne nici, i domy, w których praca mogła się odbywać. Dwadzieścia parę osób należało do sekretu, mimo to nie dowiedział się o nim nikt wrogi. Chuchając w palce, wydając ostatnie złotówki na światło, robotę wykonano. Pozostała najtrudniejsza część przedsięwzięcia: przewieść sztandar do Francji.

Jakie czary sprawiły, że płat jedwabiu, zahaftowany w polskie najświętsze słowa i obrazy, unikał po drodze złej przygody—o tym trzeba milczeć.

Jedno powiedzieć można: przeniosła go na sercu kobieta. Czy rytm tego serca był szalony i czy ono często zamierało, łatwo czytelnik odgadnie, gdy się dowie, że wysłanniczka zdążała z Wilna do Belgii przez całą, zalaną wrogami, Polskę i przez całe *Niemcy*.

Do Belgii dotarła w chwili, kiedy Hitler walił się już ze swymi hordami przez Holandię. Zanim zdołała dobrnąć do francuskiej granicy, granica przestała istnieć, zmiażdżona przez niemieckie tanki. Można było oddać symbol w pierwsze lepsze ręce, siąść na przydrożnym kamieniu i płakać. Można było nawet zakończyć jakiekolwiek po ziemi wędrówki—wszystko było łatwiejsze niż wrócić.

Jednak ta kobieta wróciła. Tymi samymi drogami. Przez ginącą Belgię, przez Niemcy, tak zjeżone nienawiścią, że każda minuta i każdy krok zdawały się ostatnie. Przez Polskę, zdrętwiałą z rozpaczy . . .

Ze sztandarem na sercu wróciła.

Czy po to, żeby go—jak rzecz umarłą—zakopać? I na mogile romantycznego marzenia pędzić smutne wieczory?

Nie. Po to, żeby nabrać tchu w piersi, ułożyć nową marszrutę i po raz drugi puścić się w podróż—tym razem przez inne kraje. W lipcu 1941-ego roku Wódz polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii, Generał Sikorski, wręczył lotnikom sztandar polskich kobiet.

Na francuskiej ziemi stali, kiedy o ten znak prosili. Na brytyjskiej już musiał ich szukać po roku, żeby w słońcu wolności mogło rozbłysnąć przykazanie dalekich żon, sióstr i matek: Miłość Żąda Ofiary.

Cóż z wysłanniczką? Zapewne wypoczywa i cieszy się słońcem wolności?

Nie. Nie ma jej tu: wróciła.

— — — — — — — — — — —

Oto i odpowiedź na pytanie, czy polskie kobiety boją się ryzykownych podróży.

— — — — — — — — — — —

NAJLEPSZA DUSZA

“Najlepsza moja duszo”—pisze mąż do Zofii. Pisze słusznie, bo człowiek ma dusz kilkoro. Jedna z nich jest najlepsza i tylko ta jest nieśmiertelna. Najlepsza dusza Polaka zespolona jest z duszą żony. Nie ma więc dla nich rozłąki a każda praca bywa wspólna.

Przez wieki Polak mówił: “Pozwól, niech ja pokręcę żarna, ty zaś spocznij sobie.” Wtedy żona siadała na progu, uśmiechała się i była tylko kobietą. On—zapatrzony w nią—pracował z radością za dwoje.

Ale żarna stały na ziemi nieosłoniętej ze Wschodu i z Zachodu ani górami, ani morzem. Na ziemi urodzajnej, wdzięcznej, pełnej w swym wnętrzu mineralnych bogactw.

Podczas gdy Polacy obracali żarna, sąsiedzi kuli miecze.

Dziś nikt nie odciąga Zofii od ciężkich żaren, na których miele się los Polski.

Jednak Zofia wie, że mąż jest z nia, i że razem trud nieśmiertelności ponoszą.

— — — — — — — — — — —

CO ROBI ZOFIA W POLSCE

Przede wszystkim nie dopuszcza, by przemoc została uznana.

Przekupki warszawskie wołają za Niemcem: “Panie Tymczasowy! Panie Krótkobytek!”

Starowina, stojąca w ogonie do biura przepustek, zapytana przez feldwebla do jakiego terminu ma opiewać jej dokument, odpowiada: “Do tego dnia kiedy nasi wrócą.”

Znakomite pisarki sprzedają mydło, aktorki posługują w kawiarniach, adwokatki szorują podłogi—raczej wszystko, niż brać udział w jakiejkolwiek pracy, którą wróg w zrabowanym kraju zarządza.

Ktoś się zdziwi: jaki związek mają powyższe fakty z życiem Zofii? Nie dziwcie się. Każda Polka ma w sobie teraz coś z tej żony oficera, która przekreśliła osobiste życie na czas nieszczęścia narodu.

A więc, jako jeden z wariantów jej własnej historii, opowiedzieć wam mogę sprawę panny Bernatowicz.

Oto doniesienie “Danziger Vorposten” z dnia 22-ego lutego 1941-go roku:

“Sąd w Grudziądzu wydał wyrok śmierci na pannę Bernatowicz za słuchanie polskich audycji radiowych z Londynu oraz za rozpowszechnianie tych londyńskich wieści. Panna Bernatowicz zorganizowała wspólne słuchanie komunikatów polskich w mieszkaniu lekarza—Niemca, którego była gospodynią. Wyrok wykonano.”

Czysta sprawa. Jakąż ona może mieć wymowę wobec koszmaru bombardowanych miast, wobec makabry obozów koncentracyjnych, wobec fantastyki zmechanizowanych bitew?

A jednak spójrzmy na tę notatkę dziennikarską oczami ludzi wtajemniczonych i czujących. Spróbujmy zrozumieć życie panny Bernatowicz, zanim zgodzimy się z jej śmiercią.

Grudziądz jest miastem pomorskim, mocno wkorzenionym w nasze dzieje, miastem, które z tytułu niemiecko-rosyjsko-austriackich rozbiorów Polski w końcu XVIII-go stulecia, przypadło Niemcom i usilnie było przez nich germanizowane.

Pod rządami odbudowanego państwa polskiego, szybko odzyskało swój właściwy charakter. Ponieważ część napływowej ludności niemieckiej z własnej woli odpłynęła zeń wtedy na jej miejsce przybyła odpowiednia liczba Polaków z innych dzielnic. Ci nowi mieszkańcy—urzędnicy, nauczyciele, rzemieślnicy—stali się wkrótce żarliwymi patriotami Pomorza. Działała tu, hodowana usilnie przez lata niewoli, “egzaltacja bałtycka,” będąca zadośćuczynieniem za “bałtycki niedowład,” który tak się przyczynił do upadku polskiego Królestwa. Nazwisko panny Bernatowicz, z charakterystyczną końcówką *wicz*, świadczy o pochodzeniu ze wschodnich kresów Polski.

Jak wiadomo, nasze Pomorze zostało obecnie wcielone do Reich'u. To znaczy, że żywioł polski skazano tam na zagładę. Mieszkańcy Grudziądza—budzeni w groźne noce—musieli chwytać walizki, których naprędce klecona zawartość nie miała przekraczać dwudziestu kilo wagi, i odchodzić tak, jak stali—w piżamach, w koszulach—do bydlęcych, nieopalanych wagonów, aby po paru tygodniach konania z głodu i zimna wysiąść w pustym polu, gdzieś w centralnej części Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego. Ludzie ci często byli członkami rodzin, które w przeciągu dziesięciu wieków nie wychylały się poza jego rogatki.

Panna Bernatowicz ze wschodnią końcówką *wicz* zdołała wszakże w pomorskim Grudziądzu pozostać. Nie tylko zdołała pozostać, ale i zaangażować się w charakterze gospodyni do niemieckiego lekarza.

Zaiste, niepowszednie musiały być talenty gospodarcze panny Bernatowicz, niezwyczajna jej pracowitość, nieoszacowana skromność wymagań, jeżeli Niemiec zaryzykował trzymanie jej pod swoim dachem. Pamiętajmy bowiem: ofiarowanie kawałka chleba jeńcowi polskiemu karane jest w Niemczech ciężkim więzieniem: Niemka, która ogłosiła w piśmie, że poszukuje drugiej służącej, przeznaczając dla niej “pokoik wspólny z przyzwoitą Polką,” ściągnęła na siebie represje oraz artykuł: “Czemuż nie w chlewie z przyzwoitą świnią?”

Panna Bernatowicz przeżyła w Grudziądzu, przyłączonym do Reich'u, blisko siedemnaście miesięcy. Proszę zważyć te miesiące nie odważnikami normalnych nocy i dni, tylko ciężarem minut długich, jak stulecia!

Każdy pacjent doktora mógł być donosicielem, każde słowo—wyrokiem, każdy dzwonek do drzwi—wezwaniem na Sąd Ostateczny.

Nawet jeżeli panna Bernatowicz była piękną kobietą, a Niemiec był zakochanym mężczyzną—noce i dni tej Polki drżały, jak liście na wietrze.

Cóż ją skłoniło do takich dobrowolnych tortur?

Ano bywają istoty tak szaleńczo przywiązane do jakiegoś kąta, czy mebla, że gotowe są znosić męki, byle widoku tych skarbów nie utracić. Może panna Bernatowicz miała dawniej w Grudziądzu sklepik? Może ogródek warzywny? Może nie mogła żyć, nie popatrzywszy co dzień choć zdaleka na szyld tego sklepu, albo na ławkę w ogrodzie?

Ach, nie zapominajmy, że panna Bernatowicz za każdym razem, gdy jej chlebodawca opuszczał dom w polskiej godzinie Londynu, zwoływała sąsiadów /Franciszka Obremska—10 lat ciężkich robót, Helena Malarska—osiem lat, Jan i Anna Mowińscy—po trzy lata/ i kusiła śmierć swoją. Ci, którzy kuszą śmierć, nie cenią miejsc i nie cenią przedmiotów. A jeżeli jakieś miejsce kochają, miejsce to jest wielkie. Co najmniej tak wielkie, jak kraj—wspólne żywych i umarłych, wieczne mieszkanie narodu.

— — — — — — — — — — —

Prasa nielegalna, to w Polsce teraz cudowne źródło łaski. Wychodzi pism podziemnych przeszło sto. Doskonale poinformowanych i trzeźwych. Nie tylko współpraca, druk, kolportaż, ale nawet czytanie karane jest śmiercią. Miliony ludzi czyta w nich prawdę, czyta słowa niezatrute nienawiścią i nabiera siły do życia jeszcze dzień, tydzień, miesiąc . . .

Na szlaku tych słów—od redakcji, poprzez drukarnie i przez wszystkie kryjome ścieżki polskie—wszędzie Zofie i Zofie. Wielkie, małe, dumne i pokorne, te, co były szczęśliwe i te, co o szczęściu marzyły—Zofie mądre, bo w przyszłość patrzące.

Opowiem o dwuch Zofiach małych.

“W sierpniu 1941-go roku schwytano na ulicy Warszawy dwie dziewczynki: czternasto—i szesnastoletnią. Znaleziono przy nich nielegalną prasę. Obie aresztowano i przetrzymano w więzieniu trzy tygodnie, poczem je zastrzelono, a zmasakrowane zwłoki wydano rodzicom. Badanie zwłok wykazało, jak potwornych rzeczy dokonywano na tych dwojgu dzieciach. Dziewczynki żadnych tajemnic nie zdradziły i pismo, które kolportowały, ukazuje się nadal.”

Któryś z tych dni, które teraz właśnie mijają w słońcu sierpniowym, jest rocznicą ostatniej tortury dwuch małych Zofii polskich. Każda godzina, która gdziekolwiek teraz płynie nad złym, czy obojętnym światem — jest rocznicą polskiego cierpienia. Zarazem jest ciągle jeszcze zadatkiem nowych strasznych rocznic.

Dzieci w Polsce były na ogół szczęśliwe. Dużo było dzieci ubogich, niedożywionych, nie dość umytych, nie dość grzecznych . . . Mało było niekochanych.

Polacy nie lubią dzieci bić! Uderzenie dziecka po twarzy uważane jest za hańbę dorosłego człowieka. Nasze dzieci są kapryśne i samowolne. Mają o wszystkim własne zdanie, sprzeczne ze zdaniem rodziców. Uprawiają także na wielką skalę “myślenie o niebieskich migdałach.”

Dwie warszawskie dziewczynki z pewnością także przed wojną tupały nogami, jeżeli matka przy czesaniu pociągnęła je mocniej za włosy. Biegały pokryjomu na dorosłe filmy . . . Z pewnością hardo odpowiadały ojcu, kiedy o dziesiątej zapędzał je spać. W nocnych koszulach siadywały o księżycu na oknie, a nazajutrz przychodziły zapóźno do szkoły.

I nikt ich za to nie karał.

Dlatego tak hojnie odpłaciły Polsce za miłość.

— — — — — — — — — — —

NIE MA ŚCIANY

“Jakże zimna ta ściana, o którą w nocy uderza twoje serce” . . . —pisze Polak z Anglii do żony w Warszawie.

Myli się. Wprawdzie ściany mieszkań polskich są teraz zimniejsze, bo nasze kopalnie, lasy, szyby naftowe służą wrogom . . . Większość okien, okaleczonych przez bomby, zabita jest dyktą i wiatr świszcze po pokojach . . . Ale ściana obojętności, której najbardziej obawiał się mąż dla Zofii—tej ściany nie ma teraz w Polsce. Między jednym sercem a drugim nic tam teraz nie stoi.

Wrzesień 1939-go roku zastał Polskę podzieloną na liczne grupy, z których każda zdawała się mieć monopol na miłość ojczyzny i na rację stanu.

Z chwilą najazdu to ustało. Kobiety zabroniły mówić o polityce. Stanęły z worami piasku na dachach palących się domów, objęły opustoszałe warsztaty, opanowały szpitale, przestały odrazu odróżniać socjalistę od arystokraty, Żyda od Katolika—rozsunęły ściany, zatarły różnice: Polska obrócona została w rodzinę.

W pamiętnikach żołnierskich z kampanii wrześniowej ta prawda powraca z zastanawiającą uporczywością:

“Gospodyni Ukrainka nie chce przyjąć pieniędzy za mleko dla oddziału. O, panowie, panowie—mówi—widzieli my tu przedtem Austriaków, Ruskich . . . Niejedno my przeszli. Bywa tak, bywało gorzej . . . Przeminie.”

“Leżeliśmy w rowie pod obstrzałem, czekając na rozkaz ataku—tak strasznie spragnieni po czternastu godzinach marszu, że język był twardy, jak rzemień. A manierki suche i ruszyć się nie można. Skąd przypełzła ta dziewczyna żydowska z dwiema butlami kwasu? Póki żyć będę, nie zapomnę tych oczu przestraszonych i dobrych.”

“20-go września w Warszawie zapalił się od bomb szpital polowy na Bagateli. Siostry przybiegły do nas, żebyśmy pomogli przenosić rannych do Kuratorium. Przeprowadziły krótszą drogą przez przechodnią bramę. To była trupia brama. Wszystkich zabitych z ulicy zwalili tam na kupę. Zaduch i niektóre twarze okropne. Te siostry, co po nas przyszły, były bardzo młode. Ale tylko zbladły i przeżegnały krzyżem świętym tych strasznych nieboszczyków. Szpital się zawalił dopiero, jak ostatni ranny był już na ulicy, trochę nas tylko przysypało. Pomagaliśmy potem w Kuratorium. Wracałem koło ruin szpitala, paliła się jeszcze jedna ściana, w dymie zobaczyłem jedną starszą siostrę. Tak była usmolona, że trudno rysy rozpoznać. Nie mogła nic mówić, tylko pokazała na worki węgla koło siebie: ciągała ten węgiel z zawalonej piwnicy, żeby na zimę chorym nie zabrakło, a ta ściana w każdej chwili mogła zawalić się na nią.”

“ . . . w lesie pod Kozłowem, z dwu stron otoczeni przez Niemców. Nauczycielki miejscowe dostarczają nam żywność, przeprawiając się nocą w bród przez torfowiska” . . .

“10-go października szli przez Nałęczów nasi jeńcy. Przed nimi i za nimi karabiny maszynowe na platformach. Niektórzy padali, a inni musieli ich ratować. Widziałem jak kobieta w chustce, stojąca u furtki, nagle wyciągnęła rękę i szarpnęła ku sobie artylerzystę, co tuż koło niej przechodził. Ludzie się stłoczyli, chustka załopotała, ktoś wbiegł za furtkę. Niemiec wrzasnął, ale konwój szedł dalej, uboższy o jednego człowieka.”

“W drugiej połowie października, po kapitulacji generała Kleeberga, ładowali nas w Piotrkowie na pociągi, żeby wieźć do obozów. Deszcz lał. W ostatnich tygodniach nie czuło się już ani zimna ani głodu—ludzie byli jak drewno. Ale przed tymi wagonami, które niewiadomo dokąd i na jak długo miały nas wieźć, na tej stacji, gdzie już Szwaby zdążyły napisać “Petrikau”—nie jednemu śmierć zajrzała do duszy. Głód się przypomniał i trzęsło mnie . . . Byłem w drelichach. Nareszcie zaczęli popychać. Za nami stał szereg z karabinami. Raptem przez ten szereg przedarła się jakaś pani z koszem i zaczęła rzucać paczki. Chłopcy skoczyli podnosić papierosy, swetry . . . była też wędlina. Ale jakiś lejtenant doskoczył do tej pani. Uderzył ją na odlew w twarz. Upadła. Doskoczył drugi Szwab—wystrzelił. Potem mój wagon przejeżdżał koło tego miejsca i ona tam leżała na peronie z twarzą zakrytą żakiecikiem, koło niej koszyk zakrwawiony i pusty.”

Tak wspominają dzisiaj na obczyźnie polscy żołnierze bezimienne kobiety swego kraju.

Dzięki tym siostrom miłosiernym ściana, o którą roztrącały się serca samotne, została zburzona we wrześniu. I tak już zostało.

Ale ludzie, którzy teraz przedostają się od czasu do czasu z Polski do wolnego świata, podają w wątpliwość samo pojęcie samotności. Mówią, że Zofii nigdy nie jest straszno w jej pustym pokoju. Że—jeśli noc robi się zbyt głośna, lub zbyt cicha—przychodzą do niej sąsiadki. A jeśli nikt przyjść nie może, Zofia zapala świecę przed ciemnym obliczem Częstochowskiej i odmawia różańce.

Wtedy słyszy miliony oddechów, miliony serc, a nad nimi słowo Miłość, które było na początku i które będzie końcem wszystkich rzeczy.

Wtedy wie, że nie przeceniła sił, mówiąc mężowi: “wytrzymam.”

— — — — — — — — — — —

ZIEMSKIE POCIECHY

Nie sądźcie jednak, że Zofia tylko z nieba czerpie swoje pociechy.

Na ziemię zdeptaną przez złych sąsiadów także zstępuje wiosna. Parki i skwery pokryły się grobami; za to rowy przydrożne po dawnemu bywają pełne kaczeńców. Wisła pluszcze jak przed wojną. Aż do Płocka przylatują wiatry bałtyckie. W Tatrach pogwizdują świstaki. Dzieci wyrastają z sukien i z butów, skóra robi się złota od słońca.

Aktorzy nie mogą grać. Ale scena polskiego życia stoi i czeka na powrót swojego Odyssa.

Zofia trzyma się nisko przy ziemi razem z zielskiem i dziećmi. Zapachy, szmery koło niej są polskie. Kiedy poczuje zapach wiślanego mułu—myśli potem przez jakiś czas, że na Zamku w Warszawie dalej mieszka Prezydent Rzeczypospolitej, a wieczór, który nadchodzi, zakończy się mariackim hejnałem.

W tych godzinach zapomnienia Zofia przerabia i prasuje swoje suknie, śmieje się i porządkuje książki na półce. W tych godzinach także pisane są listy. Ostrożne i nieostrożne.

List ostrożny:

“Najdrożsi. Wczoraj były imieniny Mietka. Jak wiecie musiał on zmienić swój zawód. Ponieważ dawna firma** zamknięta, objął obecnie stanowisko palacza przy centralnym ogrzewaniu w jednym z banków. Otrzymuje za to ćwiartkę kartofli na miesiąc. Posada ta ma tę dobrą stronę, że pozwala Mietkowi—jak i poprzednia—na długie letnie wakacje. Mietek upatruje w tym zachętę z nieba, żeby nie zaniedbywać dawnego fachu. Regularnie odwiedzają go też młodzi przyjaciele, z którymi lubi rozprawiać o zamierzchłych czasach. Dla zabawy wystawia im nawet stopnie za cierpliwość w słuchaniu tych anegdot. Mimo to, Mietek ma nerwy trochę nadszarpnięte, dlatego staraliśmy się go rozerwać. Miał na imieniny—jak dawniej—pełen pokój kwiatów /chodziłam po nie za Wilanów/. Władziowa przysłała tort z jakichś proszków, bardzo malowniczy. Stary Jot przyniósł ocalałą butelkę węgrzyna. Staś spacerował przed bramą a myśmy śpiewali staromodne pieśni i wznosili szalone toasty. Potem musiałyśmy z Manitą bardzo pędzić, żeby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Ale nie bałam się, bo zawsze ktoś na ulicy się znajdzie, co uprzedzi: “Idą,” i ktoś, co w ostatniej chwili jakieś drzwi, czy bramę otworzy. Naprawdę, najdrożsi, nie martwcie się o mnie, bo nigdy nie czułam się bardziej u siebie w każdej najciemniejszej uliczce Warszawy.”*

* Adresat wie, że chodzi o uczonego.

** Uniwersytet.

List nieostrożny:

“Kochany. Dwa lata wkrótce dobiegnie, jakeśmy się żegnali. Pewnie, myśląc o mnie, robisz tragiczny wyraz twarzy. Pewnie wyobrażasz mnie sobie w łachmanach, siwą, z wygasłym spojrzeniem. Nie, drogi, mam dobrą cerę, włosy zondulowane, a zielonej sukienki nie sprzedałam. Wkładam ją w czwartki, jak dawniej, kiedyśmy przyjmowali. Nikogo nie zapraszam i tylko ty patrzysz teraz na mnie. Większość znajomych żyje. Każdy przeżywa swoją nędzę we własnym kącie, a na ulicy łeb zadziera do góry. Dzieci rosną na kartoflach tak samo, jak dawniej na pomarańczach. Krysia wyrosła na piękność, nie pozwalamy jej prawie wychodzić. Ale i tak jeden Szwab zdążył jej zaproponować, że ją zapisze na Volksdeutsche. Odpaliła, że “nawet niemiecki oficer nie powinien obrażać kobiety.” Ciotka zaczęła tłumaczyć, że smarkata nie zrozumiała, bo nie umie po niemiecku. Ledwie się wyplątały.

Myśl o mnie bardzo mocno, ale bez smutku.”

Tak czują Zofie, którym wolno cierpieć wśród swoich.

— — — — — — — — — — —

PODRÓŻ BEZ POWROTU

Stwierdziliśmy uprzednio, że Polki nie boją się podróży, byle mogły wrócić. Bywają im wszakże pisane podróże, z których się nie wraca. Zanim zamkniemy ten rozdział, poświęćmy wspomnienie tej Polce, która napisała do bliskiego człowieka: “jestem nieszczęśliwa.”

W lipcu 1940-go roku mieszkała we Lwowie. Nie popełniła żadnego przestępstwa. Pisze:

“Wieźli nas trzy tygodnie pociągiem i wołami na Wschód. Babcia była ze mną i dzieci. Zosię odebrano mi jeszcze na dworcu, nic nie mogłam poradzić, widziałam jak wepchnęli ją do innego pociągu. W wagonach byliśmy zamknięci. Błagałam strażnika w drodze, żeby pozwolił kupić mleka dla dzieci, bo chłopi nieraz biegli z żywnością do pociągu, ale nie pozwolił. Raz tylko udało się małej dziewczynce wrzucić mi przez okno banknot jednorublowy.

Jesteśmy teraz w Azji, blisko Ałtaju, na przedpolu pustyni Gobi. Najbliższa stacje kolejowa o 140 kilometrów. Zosię odzyskałam. Jeden stary Kirgiz się ulitował i jeździł ze mną przez szesnaście dni na oklep na małym koniku od osady do osady, od jurty do jurty. Na jednym progu siedziała moja Zosia . . . Pobiegłam do niej, potykając się i krzycząc. A ona patrzy na mnie bez ruchu . . .

Teraz mieszkamy w lepiance po baranach. Pracuję przy kopaniu gnoju. Babcia odkryła w stepie dziki czosnek. Czasem dostajemy kaszę, bardzo rzadko chleb. Kobylego mleka możebym czasem i dostała, ale cena droga.

Mój drogi, jeżeli ten list ciebie dojdzie, o cóż ja prosić mogę? Jednak piszę, bo komuś muszę powiedzieć: “jestem nieszczęśliwa.” W Polsce było mi okropnie, ale tam męka miała jakiś sens. Tam i życie i śmierć mogły na coś się przydać. Jakiż mają sens i komu się przydadzą męczarnie nasze w tym stepie?”

— — — — — — — — — — —

Cięższe, niż za Faraonów są żarna, które obraca Polki w dwudziestym wieku ery chrześcijańskiej.

Ich mężom narzucona została wojna okrutniejsza, niż rzezie Tamerlana, albo niewola srozsza, niż u Rzymian. Nie mogą ulżyć doli swoich żon.

Chrystus przed odejściem powiedział: “Miłujcie się wzajem, jak ja was miłowałem.”

Tymczasem mijają lata i era chrześcijańska płynie do dnia Sądu.

Kiedyż Chrześcijanie tak urządzą swój świat, aby mieszkaniec urodzajnej równiny, nieogrodzonej z Zachodu, ni ze Wschodu, mógł bezkarnie mówić do kobiety:

“Pozwól niech ja pokręcę żarna, a ty spocznij sobie”?

Londyn, sierpień 1941-go roku.

Maria Kuncewiczowa



Krystyna Kopczyńska: Polskie zwyczaje wigilijne

Operacje na frontach

JAPONIA WCHODZI DO WOJNY

W następstwie zdradzieckiego napadu Japonii r.b. na bazy morskie Stanów Zjednoczonych i Siamu oraz desantu na Półwysep Malajski dnia 7 grudnia—obecna wojna prowadzona dotychczas na kontynencie Europy i Afryki ogarnia teraz pozostałe kontynenty kuli ziemskiej, stając się w ten sposób drugą wojną światową.

Japonia, która pierwsza z pośród państw faszystowskich rozpoczęła w 1931 politykę agresji w Mandżurii, wchodzi do wojny ostatnia z tych państw, kończąc tym samym komedię "non-belligerence," dogodną tylko dla państw osi. Podobnie jak Mussolini w ciągu ośmiu miesięcy wiązał milion żołnierzy francuskich, Japonia unieruchomiała półtora miliona wojsk sowieckich na Dalekim Wschodzie. Jednocześnie zmuszała ona W. Brytanię do skoncentrowania na D. Wschodzie, z uszczerbkiem dla bitwy na Atlantyku oraz w Afryce—znacznych sił morskich i lotniczych. Wreszcie odciągnęła znaczną ilość materiału wojennego St. Zjednoczonych od W. Brytanii lub Rosji.

Napad japoński przypominający techniką wykonania storpedowanie w lutym 1904 w Porcie-Artura trzech rosyjskich pancerników oraz niemiecki napad lotniczy na Polskę i Belgię—został uwieńczony dość znacznym sukcesem, ale przedstawia on jedynie korzyści zaskoczenia taktycznego. Pozbawiony jest natomiast całkowicie zaskoczenia w skali wielkiej strategii i polityki światowej. Nie ulega wątpliwości, że napaść japońska z punktu widzenia interesów osi powinna była nastąpić co najmniej roku temu.

Podobnie jak Niemcy po Dunkierce mieli największe szanse dokonania inwazji Anglii, a Włosi po kapitulacji Francji zaatakowania Egiptu od strony Abisynii i Libii, również i Japończycy w tym okresie byli niepomiernie silniejsi pod każdym względem od Anglików i Amerykanów. Fakt ten stwierdził zresztą zupełnie otwarcie w swojej mowie z 7 grudnia sam Churchill: "musimy być szczęśliwi, że Japonia nie zaatakowała nas po Dunkierce lub też w 1940, zanim Stany Zjednoczone nie postąpiły tak daleko w przygotowaniach wojennych." Nie wdając się w tej chwili w żadne przewidywania co do rozwoju i przebiegu działań wojennych na Dalekim Wschodzie, ze względu na ogromną rozbudowę potencjału wojennego Ameryki oraz wzmocnienie pozycji W. Brytanii na D. Wschodzie—wystąpienie Japonii należy uważać za mocno spóźnione.

Odwrotnie należy stwierdzić, że Japonia nie mogła już dłużej zwlekać z decyzją czynnego wystąpienia, jeśli nie chciała się wyrzec urzeczywistnienia swoich ambitnych planów na Wschodzie. Koła morskie Japonii, reprezentujące kierunek ekspansji oceanicznej, zdawały sobie sprawę zarówno z zespalania się frontu państw A.B.C.D. oraz z wzrostu ich potencjału wojennego. Napaść japońska jest wyrazem zimnej kalkulacji i azjatyckiego wyrachowania.

NA POMOC NIEMCOM

Wejście Japonii do wojny zbiegiem okoliczności nastąpiło właśnie w chwili, gdy szczęście wojenne zaczęło się odwracać od niezwyciężonej dotychczas *Reichswehry;* zarówno na piaskach libijskich, jak i na śniegach Rosji inicjatywa przeszła z rąk Niemców do rąk ich przeciwników.

Niewątpliwie zeszłoroczna ofensywa Wavella była również wyrazem inicjatywy angielskiej, miała ona jednak pierwotnie cele ograniczone do wypadu lokalnego i dopiero sukces wstępny, który zaskoczył zarówno Anglików, jak i Włochów spowodował jej dalszy rozmach. Obecna ofensywa ma cel wyraźnie zakreślony; zniszczenie *Afrika Korps* i osiągnięcie wszystkich wynikających z tego następstw natury politycznej.

Podobnie na froncie rosyjskim. Kontrofensywa Timoszenki na Smoleńsk i jego sukcesy pod Jelnią i Jarcewem były zwrotem ofensywnym, który przyczynił się w dużym stopniu do odciążenia naporu niemieckiego na armie Budiennego i Woroszyłowa, tym nie mniej zwycięstwo pod Rostowem i pościg za pobitą armią v. Kleista jest wyrazem przejęcia inicjatywy wyrażonej w klasycznym manewrze operacyjnym.

Rozpatrzmy pokrótce wytworzoną ostatnio sytucję na frontach dotychczasowych. Sytuacja na D. Wschodzie jest jeszcze zbyt świeża, aby ją można poddawać ocenie.

FRONT SOWIECKI

Niewątpliwie najbardziej kapitalnym wydarzeniem, które może mieć poważny wpływ na dalszy przebieg kampanii na froncie południowym, o ile nie na całym froncie, jest trwająca dotąd zwycięska kontrofensywa marszałka Timoszenki.

Rozpoczęta ona została klasycznym manewrem-uderzeniem na skrzydło przeciwnika, zaangażowanego w ciężką walkę w Rostowie. Jest to manewr zbliżony w założeniu i wykonaniu do uderzenia armii gen. Manoury w 1914 na prawą flankę armii v. Klucka, maszerującej na Paryż, do uderzenia "Grupy Wieprz" pod osobistym dowództwem marszałka Piłsudskiego na lewe skrzydło armii Tuhaczewskiego, uwikłanego w ciężką walkę na przedpolu Warszawy i linii Wisły i wreszcie do uderzenia w 1921 roku 5 dywizji tureckich pod osobistym dowództwem Kemala Paszy na lewe skrzydło armii greckiej, od dwu tygodni forsującej przeprawę na rzece Sakkaria.

Zwycięstwo Timoszenki nad armią v. Kleista, w której skład wchodziły trzy dywizje pancerne, zostało wywalczone nie dzięki brutalnej przewadze materialnej, do jakiej się sprowadzała strategia w czasie wojny pozycyjnej w Wielkiej Wojnie lub też miażdżącej przewagi technicznej, jaką posiadały Niemcy w kampanii z Polską lub Francją, ale w wyniku lepszej myśli manewru—tej iskry Bożej prawdziwego dowódcy.

Bezsprzeczny sukces sowiecki, który uchylił zagrożenie Kaukazu i który jest pierwszym bezapelacyjnym zwycięstwem nad armią niemiecką—kryje w sobie inny moment, wysoce nieprzyjemny dla sztabu *Wehrmachtu.* Otóż zwycięstwo to zostało najprawdopodobniej wywalczone nie za pomocą wojsk wycofanych z innego frontu, lecz za pomocą nowych, tworzących się na tyłach armii sowieckich. Liczebność ich i wartość bojowa wzrasta z każdym miesiącem. Ta nowa powstająca siła, która odegra jeszcze swoją rolę, już obecnie staje się dla dowództwa niemieckiego groźnym memento w kalkulacji sił walczących.

Trudno w momencie trwania kontrofensywy Timoszenki oceniać jej rozmiar oraz straty v. Kleista, które muszą być niewątpliwie poważne. Można stwierdzić, że wpłynęły one na sytuację całego frontu południowego. Jak dotąd marszałek Rundstedt nie był w stanie zatrzymać ruchu Timoszenki w kierunku na Mariupol. Akcja armii gen. Schwödlera, który otrzymał od Rundstedta zadanie powstrzymania prawego skrzydła Timoszenki na terenie Basenu Donieckiego nie dała żadnego wyniku i także ta armia została zmuszona do odwrotu.

Niemcy uczynią wszystko, aby dalszy ruch Timoszenki powstrzymać i — z czym się zresztą liczyć należy—do akcji tej będą zapewne użyte odwody nie tylko frontu południowego, ale być może także odwody v. Bocka, co przyczynić się może w konsekwencji do osłabienia tempa ofensywy na Moskwę. W każdym razie, nawet w razie zatrzymania Timoszenki, marszałek Rundstedt będzie musiał wyrzec się, już chociażby ze względów atmosferycznych, zamiarów kontynuowania ofensywy na Kaukaz.

Jeżeli idzie o sytuację pod Moskwą a raczej na froncie 180 mil na łuku Kalinin-Kursk, to sytuacja zwłaszcza na południu, w rejonie Tuły, wciąż jeszcze jest niełatwa. Niewątpliwie na kierunku moskiewskim, napór niemiecki trwający od kilku tygodni jest wciąż niebezpieczny. Wedle ostatnich wiadomości Rosjanie zdobyli Jelec na zach. od Orła. Z drugiej strony, na lewym skrzydle v. Bocka, w rejonie Kalinina, kilkakrotne kontrataki sowieckie zostały uwieńczone pełnym powodzeniem. Wzmożona działalność sowiecka w tym rejonie i ewentualna kontrofensywa w kierunku na Rdzew, oddziałów Woroszyłowa z rejonu Gór Wałdajskich, nękających prawe skrzydło v. Leeba może przynieść dalekie następstwa operacyjne.

Jeżeli idzie o sytuację na froncie północnym, to należy podkreślić znaczny sukces, jaki stanowi zdobycie Tykwina po 10 dniach zaciętych walk.

Dalej na północ działania na skutek coraz ostrzejszej zimy zatracają powoli charakter operacyjny, zamieniając się stopniowo na wojnę podjazdową, prowadzoną za pomocą oddziałów narciarskich.

Zima nazwana przez Hitlera generałem a zdegradowana przez Majskiego do szarży majora,—okazała się w tym roku tak ostra, że zaczyna wywierać co raz bardziej hamujący wpływ na działania wojenne. Przyznają to sami Niemcy, szukając w tym fakcie usprawiedliwienia braku zapowiadanych i obiecanych sukcesów.

Wedle ostatnich wiadomości, działania niemieckie w Rosji mają przyjąć wkrótce charakter defensywny. W związku z tym należało by się liczyć z jednej strony z próbą wzmocnienia lotnictwa niemieckiego w Afryce a z drugiej strony z przerzuceniem jego części na Zachód. Nie będzie też to zgadywanie "egipskich senników," jeżeli wysunę przypuszczenie, że należy się niebawem liczyć ze wzmożeniem działalności lotnictwa niemieckiego nad W. Brytanią.

FRONT LIBIJSKI

Ofensywa brytyjska rozpoczęta 18 listopada nie jest jeszcze zakończona. Weszła ona niedawno w drugą fazę, i dlatego też, z konieczności omówienie tej operacji musi być ograniczone do pierwszej fazy.

Na wstępie rozważań na temat działań w Libii trzeba podkreślić, że będą one niewątpliwie przedmiotem studiów w przyszłych podręcznikach, jako przykład nowoczesnego *Blitzkriegu.* Tu należało by sprostować pewne opaczne pojęcia na ten temat u czytelników polskich.

Blitzkrieg — termin stworzony przez gen. v. Seeckta — jest to wojna prowadzona szybko i z rozmachem, wedle nowoczesnych zasad taktycznych (zasady strategii pozostają zawsze niezmienne, zgodnie ze zdaniem Focha: "Les moyens de la guerre evoluent, les principes directeurs subsistent") cechuje ją użycie na wielką skalę broni pancernej i różnych rodzajów lotnictwa. *Blitzkrieg* w walce z przeciwnikiem słabszym materialnie, a więc przy naruszonej równowadze sił, lub z przeciwnikiem walczącym wedle zasad przestarzałych zazwyczaj zapewnia szybkie zwycięstwo—*Blitzsieg* . . . jak to miało miejsce w kampaniach w Polsce, Francji i Grecji. Gdy te same zasady walki są stosowane przez obu przeciwników, jak np. obecnie w Rosji lub w Libii, *Blitzkrieg* nie może zapewnić jednej ze stron *Blitzsiegu* —i stąd słyszy się często głosy o załamaniu się metod *Blitzkriegu.*

18 listopada, trzy brytyjskie kolumny pancerne, działając przez zaskoczenie, rozpoczęły wielki ruch okrążający siły niemieckie od południa w rejonie Sidi-Omar, Sollum i Sidi-Rezegh, współdziałając jednocześnie z akcją piechoty brytyjskiej na Bardię i Gambut. W tymże czasie jeszcze jedna kolumna brytyjska przeszła z oazy Jarabub 180 mil do Augila, zagrażając połączeniom Cyrenaiki z Trypolisem. Trudno w tej chwili ustalić, jaki był plan gen. Cunninghama: czy dążył on do otoczenia sił niemieckich, czy też przez nawiązanie łączności z Tobrukiem, dla rozdzielenia ich i bicia rozdzielonych sił zosobna.

Niestety, dla całkowitego otoczenia tak ruchliwej broni, jaką jest broń pancerna, w dodatku, jak okazało się świetnie dowodzona, Anglicy nie posiadali dostatecznej przewagi liczebnej, a w dodatku siły swoje rozdzielili na kilka samodzielnie działających kolumn pancernych. W wyniku parodniowej bitwy w rejonie Sidi-Rezegh obie strony poniosły dość duże straty. Koło 27 listopada, Rommel posyła część swoich sił w kierunku na Sidi-Omar, celem powstrzymania od wschodu naporu piechoty brytyjskiej a jednocześnie dość silna kolumna pancerna dokonuje wypadu na Egipt. Oba te ruchy miały na celu zmylenie uwagi przeciwnika i odciągnięcia go od zachodu, gdzie 21 dywizja pancerna prowadziła silne natarcie na El-Duda. Jednocześnie w wyniku zdecydowanego i zmasowanego natarcia Rommla na brygadę piechoty nowo-zelandzkiej, następuje przerwanie korytarza na południe od Tobruku i połączenie się rozdzielonych sił niemieckich.

Na tym zakończyła się pierwsza faza ofensywy angielskiej, która nie przyniosła zapowiadanego zbyt hałaśliwie przez propagandę sukcesu.

W danej chwili, siły niemieckie są skoncentrowane na zachód od rejonu El-Adem i pod czołowym naporem Anglików wycofują się powoli na zachód, nękane od południa przez angielskie ruchome kolumny pancerne.

NOWE ZAGADNIENIA

Niewątpliwie rozpoczęcie ofensywy angielskiej w Libii oraz wejście Japonii do wojny, uwieńczone, jak na początek znacznym sukcesem, otwiera cały szereg nowych problemów wojskowo-politycznych.

Jeżeli idzie o Afrykę—ponownie postawa Francji, zwłaszcza po dymisji Weyganda, staje się bardzo interesująca. Nie mniej interesujący jest problem, czy Sowiety wypowiedzą wojnę Japonii i kiedy ich wejście do wojny, prócz wzmocnienia floty anglo-amerykańskiej o 80 sowieckich łodzi podwodnych i pewną ilość krążowników da do dyspozycji Ameryki znakomite bazy dla bombardowania wysp japońskich.

Eugeniusz Hinterhoff

Jedna wojna

Nie mam zwyczaju powoływać się na moje dawne artykuły, ani się chwalić, że słusznie przewidywałem rozwój wypadków. Tym razem jednak nie mogę się powstrzymać od przypomnienia, iż w jednym z pierwszych numerów "Polski Walczącej" we Francji, to jest na początku 1940 roku wskazywałem na to, że wojna Chin z Japonią jest czynnikiem wspólnej walki przeciw faszyzmowi, że prędzej czy później dwie wojny—wschodnio azjatycka i europejska—muszą się zlać w jedną wielką wojnę światową.

Japonia mogła tego uniknąć. W tragicznym momencie po załamaniu się Francji, gdy Wielka Brytania pozostała osamotniona w swej walce, rząd Churchilla próbował—z żalem, jak to obecnie Churchill stwierdził—dojść do porozumienia z Japonią. Droga birmańska—ta droga, którą szła do Chin broń konieczna do podtrzymania oporu chińskiego—została tytułem próby zamknięta na trzy miesiące.

Jednak apetyty kliki wojskowej, która rządzi Japonią równie totalistycznie, jak Hitler i Mussolini rządzą Niemcami czy Włochami, nie zadowoliła się ułatwieniem zwycięstwa nad Chinami. Marzyło się im, że pod osłoną ofensywy niemieckiej na Zachodzie potrafią przeprowadzić teraz całość planu, który w słynnym memoriale Tanaki z roku 1927 dokładnie ustalał kolejność zdobyczy japońskich. Marzyło się im za jednym zamachem opanować Malaje, Indie Holenderskie i Indochiny. Nastąpiło zajęcie Indochin, nastąpiło zacieśnienie więzów niemiecko-japońskich. Droga birmańska została więc z powrotem otwarta—Chinom znowu dano możność walki.

Przyszły jednak i dalsze reakcje. Z chwilą gdy ambicje Japonii zostały całkowicie ujawnione, wszystkie państwa zagrożone porozumiały się między sobą. Powstał front A.B.C.D.—Ameryka, Imperium Brytyjskie, Chiny, Indie Holenderskie. Ogłoszono embargo na wywóz do Japonii, które dla tego kraju, nieposiadającego ani nafty, ani żelaza znaczyło na dalszą metę niemożność kontynuowania zbójeckiego napadu na Chiny.

Rozmowy admirała Nomury i Kurusu w Waszyngtonie miały na celu zbadanie, czy nie da się jednak uzyskać wschodniego Monachium, czy nie da się ponownie zamknąć dopływu pomocy do Chin i uzyskać uznania zaboru Indochin, milczącego pozwolenia na zagrabienie Siamu. Za tę cenę Japonia dzisiaj—gdy perspektywy pełnego zwycięstwa niemieckiego nie są już tak różowe, jak w roku 1940,—gotowa była odroczyć swe dalsze plany zdobywcze.

Prezydent Roosevelt jednak nie dał się rozbroić. Ostatnia nota ministra Hulla do Japonii, między warunkami cofnięcia embarga i pokojowego rozwiązania sporów amerykańsko - japońskich wymieniała dwa następujące: "Rząd japoński wycofa wszystkie siły wojskowe, lądowe i powietrzne oraz policję z Indochin i Chin. Rząd Stanów Zjednoczonych i rząd japoński nie poprą wojskowo, politycznie ani gospodarczo żadnego innego rządu w Chinach prócz rządu narodowego republiki chińskiej z obecną siedzibą w Czunkingu."

Ameryka zażądała więc wyraźnie zaprzestania zdobywczej, napastniczej polityki Japonii. Taka likwidacja awantury, która kosztowała już naród japoński setki tysięcy zabitych i miliardy jenów, leżała niewątpliwie w interesie Japonii, ludu japońskiego. Ale likwidacja ta oznaczałaby koniec rządów kliki wojskowej. Klika wybrała więc walkę. I w tej samej chwili, w której p. Kurusu wręczał p. Hullowi odpowiedź japońską, nazwaną przez Hulla najbardziej bezczelnie kłamliwym dokumentem, jaki mu się zdarzyło widzieć—jeden z ustępów tej odpowiedzi oskarża Stany, że "przygotowują pod pozorem samoobrony napaść na Niemcy i Włochy, dwa państwa dążące do stworzenia nowego porządku w Europie"—bomby japońskie zatapiały w Pearl Harbour wojenne okręty amerykańskie a w raju ziemskim, w Honolulu, ulice pełne były rozszarpanych trupów.

Odtąd już bohaterskie Chiny nie walczą same—dwie wojny zlały się w jedną olbrzymią wojnę o wolność ludów.

W tym jednak nie wyczerpują się następstwa wybuchu wojny amerykańsko-japońskiej. Idą one nieporównanie dalej i głębiej. Przede wszystkim dzisiaj Stany są zupełnie zjednoczone. Izolacjonizm się skończył. Kto słyszał przez radio burzę oklasków, która Kongres powitał Roosevelta, kto słyszał, jak jego mądrą niesłychanie umiarkowną mowę, w której powstrzymał się od najlżejszej przymówki, że wypadki usprawiedliwiły jego politykę, ciągle przerywały nowe oklaski, dzikie wrzaski i gwizdy (tak się wyraża w Stanach a zresztą i w Anglii uznanie)—ten nawet przed ogłoszeniem wyniku głosowania, wiedział, że Kongres jest jednomyślny. A przecież nie **tak dawno przedłużenie służby** wojskowej przeszło, ledwie jednym głosem większości, a ograniczenie *Neutrality Act* 18 głosami. Zaraz zresztą nazajutrz główni izolacjoniści: senator Wheeler, ekspresydent Hoover oświadczyli, że teraz należy walczyć aż do zwycięstwa. A po namyśle 48 godzinnym to samo oświadczył i—sam Lindberg.

Ta jednomyślność oznacza, że cały szereg oporów, które hamowały rozwój produkcji amerykańskiej, przestał istnieć. O strajkach dziś już nie ma mowy. A co jeszcze ważniejsze nie ma już mowy o "*business as usual.*" Nazajutrz po wypowiedzeniu wojny Roosevelt w swym *fireside chat* /pogawędka przy kominku/ zapowiedział, że Amerykanie będą musieli się obejść bez całego szeregu rzeczy, bo tego wymaga produkcja wojenna.

Pamiętajmy, że do tej pory z 8 godzin pracy w Stanach na produkcję wojenną szła tylko jedna, a w Niemczech stosunek jest jak 5 do 8. Pamiętajmy, że gdy szło o rozwój produkcji samolotowej, wymagającej o 40 milionów ton aluminium więcej nad produkcję roku 1940 i gdy rząd żądał rozwoju kopalni w Arkanzasie, koncern aluminiowy amerykański "Alcoa" sprzeciwił się temu, bo obawiał się spadku cen. Minister spraw wewnętrznych Ickes oświadczył: "Jeżeli pisząc historię wojny trzeba będzie napisać, że została ona przegrana, to może winę za tę przegraną ponosić będzie Alcoa." Pamiętajmy, że fabrykanci odmówili produkcji pewnego rodzaju armat, o ile ustawa ograniczająca zyski na dostawach wojennych do 8% nie zostanie uchylona. To się skończyło. Stan wojny daje rządowi możność zmuszenia do produkcji, zmuszenia do rozwoju fabryk.

Nie tylko to. Do wojny stają nie tylko Stany Zjednoczone. Do wojny stają obie Ameryki. Mądra i przewidująca polityka "dobrosąsiedzka" Roosevelta dziś przynosi owoce. Wojnę Japonii wypowiedziały już Meksyk, Guatemala, Costa Rica, republika dominikańska, Haiti, Honduras, Kolumbia, Panama, Nicaragua, Boliwia i Salvador. Prezydent Urugwaju i prezydent Kuby zwrócili się do parlamentów o wypowiedzenie wojny. Brazylia natychmiast zgłosiła swą solidarność ze Stanami. Argentyna—zawsze zazdrosna o Stany—początkowo ogłosiła neutralność, ale po 24 godzinach rozmyśliła się, ogłosiła również solidarność i zgodę na użytkowania rzeki La Plata. Chili tak samo oświadczyło, że przedsięweźmie środki zgodne z polityką ogólną państw amerykańskich.

Cała zachodnia półkula jest więc dziś solidarnie w walce. I to nie tylko z Japonią.

Obojętne jest czy Niemcy lub Włochy wypowiedzą wojnę Stanom, czy Kongres uchwali wojnę, czy też w ogóle żadnego aktu nie będzie. Z samego faktu, że Stany w przymierzu z Imperium Brytyjskim walczą przeciw Japonii wypływa automatycznie stan wojny z Niemcami. Tak samo przecież—mimo pewnych niefortunnych oświadczeń — Polska była automatycznie od d. 10 czerwca 1940 w stanie wojny z Włochami, i—jak to słusznie podkreślił jenerał Sikorski—obecność wojsk polskich w Tobruku była właśnie zadokumentowaniem tego stanu wojny.

Jeden z czołowych izolacjonistów, Hearst od razu oświadczył w swym piśmie: "Nie zostaniemy w domu i nie będziemy zadawalać się defensywą. Nasza wojna od tej chwili toczy się nie tylko w Azji, ale i w Europie." Prezydent zaś Roosevelt postawił w swym *fireside chat* sprawę zupełnie jasno. "Pamiętajmy—mówił—że od tej chwili Niemcy i Włochy bez względu na jakiekolwiek deklaracje wojny uważają siebie za będące obecnie w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi i całym kontynentem amerykańskim." Przypomniał, że polityka Niemiec, Włoch i Japonii szła zawsze równolegle i że ich plan strategiczny jest jeden, obejmujący całą kulę ziemską. I od razu Niemcy i Włosi zostali w Stanach uznani za wrogich cudzoziemców i potraktowani na równi z Japończykami.*

Nareszcie więc wszystko jest jasne. Cała siła Ameryki jest zaangażowana w wojnie—w naszej wojnie. Pozwolenie na wysłanie armii amerykańskiej poza półkulę zachodnią, które tak niedawno wydawało się nieosiągalne, jest dziś prostą rzeczą, którą Kongres uchwali bez dyskusji w pięć minut.

Wojna niemiecko-amerykańska, której by Kongres w nastroju jego z przed tygodnia nigdy nie był wypowiedział, zaczęła się z woli jenerała Tojo i jego towarzyszy.

Jest jeszcze cały szereg dalszych następstw, o których warto będzie przy sposobności pomówić. Dziś wystarczy zwrócić uwagę na dwie. Przede wszystkim wojna z Japonią znacznie ułatwi rozwiązanie zagadnienia udziału Indii w wojnie. Pandit Jawaharlal Nehru, przywódca Kongresu, przed kilku dniami wypuszczony z więzienia, już wyraził sympatię dla walki Wielkiej Brytanii, Ameryki i Rosji.

Dalej warto wskazać, iż wojna dziś jest totalna w tym sensie, że objęła cały świat, co oznacza, że i pokój będzie musiał być totalny, dotyczyć całego świata, a nie tylko Europy.

Przy stole konferencji pokojowej zjawią się z równym głosem jako współdecydujący towarzysze walki: Stany Zjednoczone i Chiny.

Czesław Poznański

* Już po napisaniu tego artykułu pozostałe państwa "osi" wypowiedziały wojnę Stanom.

Wojna na morzu

Pomimo, że wojna na "Oceanie niegdyś Spokojnym" była przewidywana, najśmielsza wyobraźnia nie malowała wypadków w takiej skali i nikt nie mógł przypuścić, że rozwiną się one w tak błyskawicznym tempie. "Wymarzona" przez powieściopisarzy fantastycznych wojna japońsko-amerykańska rozgrywa się przed naszymi oczami w sposób nie mniej emocjonujący, jak powieść Wellsa. Jest to jednak sprawa wielkiej wagi, aby te zaiste fantastyczne wypadki oceniać w sposób trzeźwy.

Przed Japończykami mamy przesadny respekt z jednej strony /wspomnienia wojny rosyjsko-japońskiej 1904-5/, a z drugiej strony niczym nieuzasadnione lekceważenie, powstałe na skutek niesumiennych opowieści przeróżnych korespondentów amerykańskich. "Japończycy nie znoszą kołysania na morzu," "Japończycy nie umieją latać i są złymi pilotami," "Japończycy spadają z koni podczas defilady, a więc ich wojska pancerne są nic nie warte /?/,"—nieskończony łańcuch głupkowatych anegdotek.

Nie należy szerzyć paniki /"Już im zatopili wszystkie pancerniki"—zdanie takie słyszałem na własne uszy/ i nie powinno się wyrokować o rzeczach, o których nie ma się pojęcia /"Okręty liniowe są już niepotrzebne"—ditto/, ale z drugiej strony lekceważenie groźnego, zdyscyplinowanego i potężnego przeciwnika na podstawie rzekomych "danych" jest bardzo szkodliwe.

ZASKOCZENIE

"Jednym z najsilniejszych instrumentów taktyki współczesnej jest zaskoczenie." Tę prawdę strategiczno-taktyczną Japończycy zastosowali w całej pełni. Rokując podstępnie w Waszyngtonie przez swych "specjalnych wysłanników" /Kurusu oraz ambasador jap. adm. Nomura/, których rzeczywistym zadaniem było uśpienie czujności naiwnych Yankesów, jednocześnie systematycznie i ostrożnie przygotowywali atak na amerykański łańcuch baz morskich Oceanu Spokojnego.

Wszystko wskazuje na to, że Japończycy tak właśnie postępowali, Ameryka zaś albo nie widziała ich przygotowań, albo /co gorsza/ lekceważyła je. Wydawało się amerykańskim strategom morskim, że na olbrzymiej przestrzeni /166,500,000 mil kwadratowych/ Oceanu Spokojnego, przy zawrotnych odległościach /z japońskich baz morskich do Zatoki Pereł na Hawaii od 4,500 do 6,000 mil morskich, gdy normalny zasięg bojowy współczesnych, największych okrętów nie przekracza 2,500 do 2,700 mil morsk. od własnej bazy /zaskoczenie nie jest możliwe. Było to o tyle słuszne, że istotnie zaskoczenie takie nie byłoby do przeprowadzenia, gdyby Japończycy uprzednio nie zorganizowali całej sieci ruchomych baz zaopatrzenia i nie przeprowadzili swych okrętów, a zwłaszcza lotniskowców i ich ochrony na miejsca upatrzone, najbardziej nadające się do ataku.

Dzięki więc temu przygotowaniu i dzięki amerykańskiej "krótkowzroczności," gdy się ma z tak nieprzebierającymi w środkach partnerami do czynienia, jak partnerzy "Osi," zaskoczenie udało się Japończykom znakomicie i nie tylko zadali Amerykanom i Brytyjczykom poważne straty, ale zdołali w pierwszych dniach wojny utrzymać inicjatywę w swoich rękach.

NAPAD NA AMERYKAŃSKIE BAZY MORSKIE

Informacje, które dotąd są w naszym posiadaniu /do 14 grudnia 1941/ są bardzo mgliste i niekompletne. "Nie zamierzamy przeciwnikowi ułatwiać zadania"—powiedział prezydent Roosevelt—"przez przedwczesne ogłaszanie strat, które ponieśliśmy. Tego rodzaju wiadomości były błędem poprzedniej wojny." To też rezultaty pierwszych ataków japońskich na amerykańskie bazy morskie na Pacyfiku można tylko, jak dotychczas, osądzać ze źródeł niemieckich i japońskich, jeśli nie liczyć paru histerycznych amerykańskich korespondentów, polujących na tanią i karygodną sensację.

Osiowcy podają /a chyba nie umniejszają swoich sukcesów/, że podczas powietrznego ataku na Zatokę Pereł i na Honolulu na wyspach Hawaii, zatonął okręt liniowy U.S.A. "Arizona" /32,000 tonn/ i miał spłonąć okręt liniowy U.S.A. "Oklahoma" /bud. 1916 r., 29,000 tonn, 1,300 ludzi załogi, 20 węzłów szybk., 14 dział 16 calowych/. Poza tym Japończycy ogłaszają zatopienie jednego krążownika i 4 kontrtorpedowców. Wielka ilość samolotów amerykańskich miała być zniszczona na lotniskach lub w zatoce /wodnopłatowce/.

Z raportów japońskich i opisów niemieckich wygląda na to, że zaskoczenie było istotnie niesłychane, a samoloty japońskie atakowały prawie zupełnie bezkarnie. Amerykanie zażywali beztrosko "dobrodziejstw pokoju i bezpieczeństwa, które jest gwarantowane przez odległość" /zdanie wyjęte z jednego z przemówień Lindbergha/.

Jednocześnie Japończycy zaatakowali w pamiętnym dniu 7 grudnia 1941 roku bazę amerykańską w Manili na Filipinach /ponad 4,800 mil morskich od Honolulu/, wyrządzając według raportu admirała Hart /am./ "wielkie szkody i zabijając dużą ilość cywilnych. Pewna ilość małych okrętów pomocniczych została zniszczona w dokach i w basenach." Na niezmierzonych przestrzeniach Oceanu cały "most" amerykańskich baz został jednocześnie zaatakowany. Wyspę Guam Japończycy zdobyli, a wyspa Wake broni się podobno do tej pory, pomimo nieustannych ataków. Wszystkie te uderzenia zadane zostały przez lotnictwo morskie z pokładów lotniskowców japońskich.

ATAK NA BAZY BRYTYJSKIE

Trzeba przyznać, że ofensywa japońska przeprowadzana jest na kolosalną skalę i z rozmachem, który może być w niedalekiej przyszłości powodem jej niepowodzenia, jeśli przeciwnatarcie angielsko-amerykańsko-holenderskie rozwinie się z tym samym impetem, po przezwyciężeniu trudności wynikłych z zaskoczenia i z braku jednolitego dotychczas kierownictwa działań morskich.

Japończycy zaatakowali prawie w tym samym czasie Hong Kong, znakomicie ufortyfikowaną przez naturę i przez Brytyjczyków bazę w Chinach, "cierń prowincji Kantonu"; wylądowali pod Aparri na wyspie Luzon /Filipiny/, wylądowali na półwyspie Malajskim, zdobywając ważne lotnisko Kota Bahru, zaatakowali Siam, który im się poddał po komedii parugodzinnej walki, zaatakowali Burmę od Indochin, zbombardowali Singapore, Penang i "pchają się" do prowincji Kedah, by ostatecznie odciąć połączenie lądowe Malajów z Burmą. Jednocześnie wylądowali jeszcze w paru innych miejscach na Malajach, na Borneo i próbowali wysadzić desant na wyspie Mindanao /Filipiny/.

Gdy się spojrzy na mapę zdumienie ogarnia na widok przestrzeni, która oddziela jedną akcję od drugiej. I w tych więc okolicach świata "japsy" przygotowali się do napaści od wielu miesięcy, jeśli . . . jak twierdzi znakomity brytyjski rzeczoznawca morski Francis McMurtrie, nie od długich lat. Tu i ówdzie desanty japońskie nie powiodły się, lecz wszędzie prawie prace ich ułatwiała ogromna i sprawna japońska "piąta kolumna" . . .

KLĘSKA, Z KTÓREJ UMIE SIĘ WYCIĄGNĄĆ NAUKĘ, JEST ZWYCIĘSTWEM

Niewątpliwie strata 2 wielkich okrętów, a więc strata w ciągu jednego dnia równa stratom w tej klasie okrętów w ciągu całej dotychczasowej wojny /"Royal Oak" i "Hood"/ jest dotkliwą klęską morską. Jej przyczyny wydają się jasne. Raz jeszcze od czasów Krety, admirał dowodzący zapomniał, czy też zlekceważył osłonę powietrzną, czy też nie był w możności z nią współdziałać. Informacje w opowieściach i raportach, podawanych do wiadomości publicznej, zdają się wskazywać, że zaatakowanie i sparaliżowanie lotniska w Kota Bahru było przyczyną śmierci "Prince of Wales" i "Repulse." Wielu jednak brytyjskich krytyków morskich zarzuca bohaterskiemu admirałowi Sir Tom Phillips, że wyruszył na wyprawę przeciw lądującym na Malajach Japończykom bez lotniskowca i bez pewności osłony lotniczej. Na morzu bowiem wielkie okręty są koniecznością tak, jak na lądzie broń pancerna, ale w obecnych warunkach wojny, ich akcja nie jest możliwa bez współdziałania z powietrzem, jeśli nie chce się ryzykować bezproduktywnej utraty najpotężniejszych narzędzi walki. Admirał Phillips zaryzykował, jak oświadczył Churchill w parlamencie: "ponieważ zaryzykować w tych warunkach, jakie były, należało" i . . . przegrał, życiem swoim pieczętując omyłkę.

Oba okręty zostały zatopione dzięki kilkakrotnym atakom torpedowym z powietrza i, jak ostatnio stwierdzono, z pod wody. Dowódca "Repulse" sygnalizował do admirała Phillipsa: "Dotychczas trafiło nas 19 torped, ufność w Opatrzność." Ponad 60 samolotów japońskich atakowało "Prince of Wales" przez 3 godziny z zaciekłością i niespotykaną determinacją. Tylko jedna bomba lotnicza trafiła wspaniały okręt, nie czyniąc zbyt wielkich szkód. Jednak trzy fale ataków torpedowych dokonały swego.

Odwrót do Singapore przedsięwzięto zapóźno. Oba okręty zatonęły, a z nimi razem admirał Sir Tom Phillips, głównodowodzący floty brytyjskiej na Dalekim Wschodzie, Komandor /Captain/ Leach, dowódca "Prince of Wales" oraz około 800 oficerów i marynarzy. Do tej pory kontrtorpedowce i inne okręty brytyjskie uratowały około 130 oficerów i 2,200 marynarzy. Admirał i komandor Leach widziani byli do ostatniej chwili na pomoście "Prince of Wales." Na obu okrętach nie było paniki ani przez jedną chwilę.

DUCH MARYNARKI BRYTYJSKIEJ

Ostatnie chwile okrętów brytyjskich /"Prince of Wales"—35,000 tonn, ukończony w r. 1941 uzbr. zasad. 10 dział 14 calowych/ "Repulse" /krążownik bojowy/—32,000 tonn, wyb. 1916 r. uzbr. zasad. 6 dział 15 cal./ oraz śmierć maleńkiej, rzecznej kanonierki brytyjskiej w porcie Szanghaju ukazują we właściwym świetle wspaniałego ducha Marynarki Brytyjskiej.

Kanonierka H.M.S. "Petrel" zakotwiczona była w porcie Whangpoo pod Szanghajem, obok amerykańskiej kanonierki "Wake," gdy o godzinie 4.30 rano w dniu 7 grudnia okręty japońskie /okręt liniowy i kontrtorpedowiec, stojące opodal/ otworzyły na nią ogień, jednocześnie wywieszając sygnał: "poddajcie się." Dowódca Petrel'a kapitan marynarki /Lieutenant-Commander/Polkinghorne,63-letni pilot rzeczny z Tiensinu /*Royal Naval Volunteer Reserve*/ odpowiedział Japończykom na sposób Cambronne pod Waterloo. Zginął razem z połową swej załogi /druga część była na urlopie na lądzie w mieście/, ale bandery brytyjskiej nie opuścił.

STRATY JAPOŃSKIE I ZESTAWIENIE SIŁ

O dotychczasowych stratach japońskich wiemy tak samo mało, jak o stratach amerykańskich. Amerykanie twierdzą, że zatopili japoński okręt liniowy "Haruna" /bud. 1913 r., szybk. 26 węzłów, 8 dział 14 calowych, 16 dział 6 calowych, 4 podwodne wyrzutnie torpedowe/ i ciężko uszkodzili drugi okręt tej samej klasy /klasa "Kongo"/ . . . Japończycy temu przeczą. Również Amerykanie zapewniają, że zatopili jeden lotniskowiec /jakoby "Akuyi"—26,900 tonn ?/, jeden krążownik klasy "Atago," 2 kontrtorpedowce i szereg okrętów podwodnych. Potwierdzenia tych wieści brak, są one jednak bardzo prawdopodobne.

Z drugiej strony Brytyjczycy i Holendrzy przypuścili ostry atak podwodny na japońskie transporty desantowe na Morzu Żółtym. Okręty podwodne holenderskie zatopiły u wybrzeży Malai 4 statki japońskie, przeładowane wojskiem. 4,000 żołnierzy utonęło, jak doniosły raporty z dnia 13 grudnia.

Bez względu na to, jakie są straty japońskie, amerykańskie i brytyjskie w pierwszych dniach zaskoczenia należy zrobić zestawienie sił morskich na Oceanie Spokojnym, po obu stronach, gdyż wówczas dopiero będziemy mieli właściwy obraz rzeczywistości i wówczas dopiero możemy robić spekulacje, takie czy inne, na temat rozwoju wypadków.

Przede wszystkim zdajmy sobie sprawę z dodatnich i ujemnych stron położenia każdego z przeciwników. Japończycy mają przewagę nad przeciwnikami przez: a/ bliskość baz i zogniskowanie swoich wypadów, umożliwiające koncentrację uderzeń, b/ jednolite i zdecydowane dowodzenie oraz znakomite przygotowanie, c/ jedność frontu, którym są zainteresowani, d/ jednolitość załóg /tylko japońskich/ i jednolitość wyszkolenia /gdy przeciwnicy składają się z Anglików, Holendrów i Amerykan o odmiennych tradycjach morskich i odmiennych pojęciach dyscypliny/.

Sprzymierzeni górują nad Japończykami przez: a/ przygniatającą przewagę ilościową okrętów liniowych, krążowników, kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, b/ niewyczerpaną ilość surowców i materiałów pędnych, c/ olbrzymi przemysł o prawie nieograniczonych możliwościach, d/ nieprzerwaną łączność i otwarte połączenia komunikacyjne /gdy Japończycy są oddzieleni od swoich sprzymierzeńców/. Natomiast stroną ujemną położenia sprzymierzonych do tej pory stanowi: a/ niedostateczne przygotowanie do wojny, b/ brak jednolitego dowodzenia operacyjnego, c/ długość morskich linii komunikacyjnych /n.p. od San Diego w Kalifornii do Hawaii 3,380 mil morskich, a od Hawaii do Manili 4,800 mil morskich i t.p. Odległości dla Brytyjczyków są nie mniejsze jak również nie mniejsza przestrzeń, którą trzeba zabezpieczyć, co oczywiście prowadzi do rozproszkowania sił, d/ różnorodność sprzętu i załóg.

NIEMCY I WŁOSI

Nie należy oczywiście zapominać o flotach Niemiec i Włoch, które choć przedzielone odległością i blokadą sprzymierzonych, gryzą jak mogą. Nie potwierdziły się dotąd wiadomości amerykańskie jakoby "Tirpitz" był już wykończony i zdołał się przedostać na Ocean Spokojny. Zaginięcie jednak tuż przed napadem Japończyków dzielnego krążownika australijskiego. H.M.A.S. "Sydney" zupełnie bez wieści wraz z całą załogą, jakoby w walce na oceanie Indyjskim z niemieckim krążownikiem pomocniczym, daje dużo do myślenia. Choć z drugiej strony załoga zatopionego przez "Sydney" reidowca uratowała się w szalupach i zapewnia, że to właśnie oni zatopili krążownik australijski.

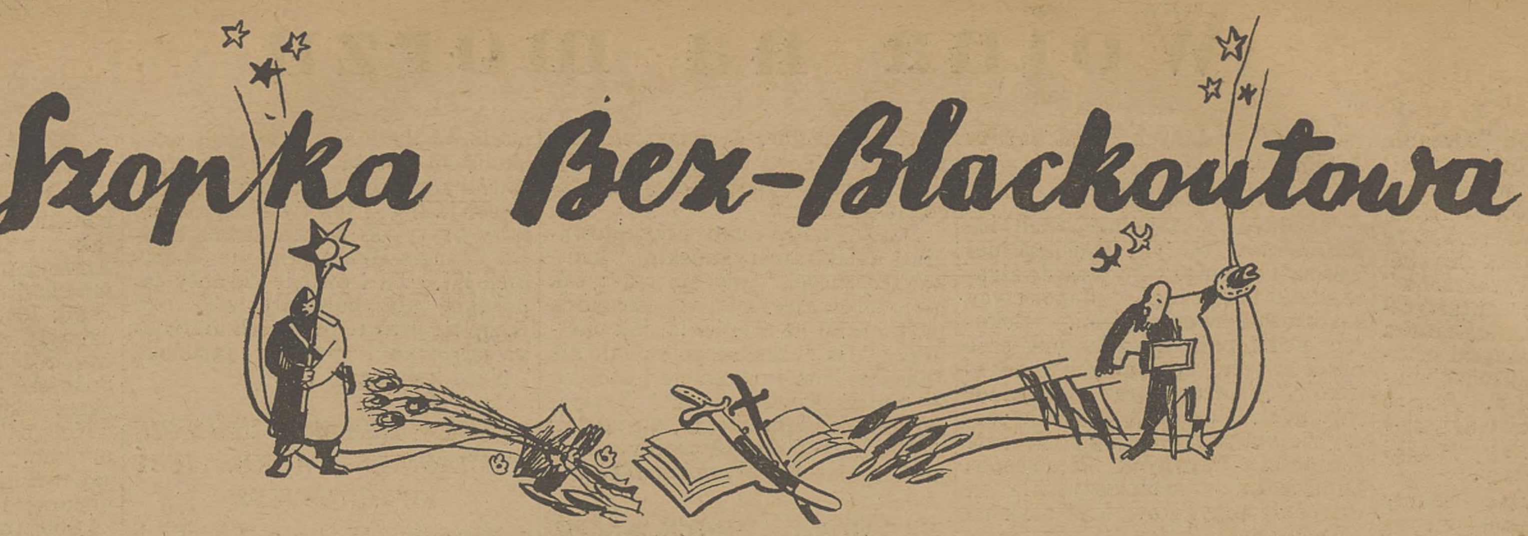
Na Morzu Śródziemnym Włochom nadal nie powodzi się, a w dniu 12 grudnia, angielskie i holenderskie kontrtorpedowce zatopiły im "dalsze" 2 krążowniki i jeden kontrtorpedowiec . . . Na Atlantyku, jak stwierdził Churchill w Izbie Gmin, "stwierdzić należy dalszy spadek ilości zatopionego tonnażu" . . .

Oceany i morza całego świata ogarnięte są pożarem nieubłaganej i okrutnej wojny.

Londyn, 14 grudnia 1941 roku.

Bohdan Pawłowicz

Szopka Bez-Blackoutowa



POSTACIE:

Chochoł
Stańczyk
Dziennikarz "M.K."
Zygmunt Śmiały
Zbigniew Wernyhora
Mistrz Rubens
Lord Stratton
Prof. Dokumentariusz-Informacoński
Major Blitzer
Psaweny Nenvik-Knułszyński
Mikołaj Czyk
Bieleusz Tadecki
Antoni Wel Sonimski
Antoni Cenzorsławski
Cyt-Mac-Broszurkiewicz
Dymon Cierplecki

/Big Ben bije północ w Londynie/

Chochoł /z "Wesela"/:
Kto mnie wołał,
Czego chciał?
Z biletingu Chochoł zwiał . . .
Jestem, jestem już w tej Szopce
Tu się zejdą nasi chłopcy . . .
Wicher ich na wyspę zwiał . . .
/siada na progu Szopki i patrzy na wchodzących: Stańczyka i Dziennikarza/

Stańczyk /nie z "Wesela"/:
Wiec—się za mną włóczy wciąż.

Dziennikarz M.K.:
P.A.T. przede mną ciągle stąpa . . .

Stańczyk:
Człowiek skory, władza skąpa—

Dziennikarz M.K. /poznając/:
Wielki mąż!

Stańczyk:
Mój przyjaciel Roosevelt, Winant,
Zna fabryczna mnie ferajna
W Ameryce, w Anglii, w Chinach . . .

Dziennikarz M.K.:
Labour Party—to przyczyna?

Stańczyk:
Labour, czy nie—Labour panie,
Party—to jest me zadanie,
A pan zacz kto?—Nie znam pana . . .

Dziennikarz M.K.:
Jestem synem Lewiatana,
Lecz obecnie tylko: "M.K."

Stańczyk:
"M.K." znaczyć może wiele:
Że "myśl krótka" mój aniele,
"Moc kawałów" to też "M.K."
"Marzeń kręgi"—czyli drzemka . .

Dziennikarz M.K.:
To jedno.—Usypiam duszę mą biedną
I usypiam brata mego,
Wszystko jedno, wszystko jedno
Dla Dziennika Polskiego.
Okropne rzeczy się dzieją!
Patrzę na przebiegi zdarzeń
I piszę artykuły zbliżone do marzeń.
Tak odległe od wszystkiego—
Dla Dziennika Polskiego.

Stańczyk:
Acan jako spowiedź czyni
Z wszystkich swych prasowych grzechów
Acan się zalewa łzami
Dla Dziennika duszę krwawi
Ale znać z acana mowy,
Że jest—tak—przeciętnie zdrowy
Jutro humor się naprawi . . .

Dziennikarz M.K.:
Znowu kropnę felietonik
I uderzę w znany tonik
Z rzepą, z krzepą.
Pióro płonie.
Sam Szapajro powie: "Bon."

Stańczyk:
Zaśpiewałeś w kruczy ton.
Wszystkim jedno kładziesz w uszy
Jesteś jak ten Big Ben dzwon.
A słyszałeś jak w tej głuszy
Jęczy, dźwięczy, śpiewa—On?

Dziennikarz M.K.:
Zygmunt! Zygmunt!
/wchodzi Zygmunt Śmiały w historycznej todze cierpienia, wydanej nakładem M.I. Kolina Szczodrego/

Zygmunt /śpiewa/:
Nie dbam jaka spadnie kara;
Rada pękła, grosz zabrany.
Dotąd ja wierny poddany
Pracuję teraz dla Cata.
Gdy na wyspie gdzieś osiędę,
Kolin forsę przyśle lotem
A ja co dzień siać znów będę
Moje gadki, moje psoty.
Z wielkich gniewów—zrobić nici
Dla mnie prosta to parada,
Może rząd się wnet poszczyci,
Że Zygmunta ma znów Rada.

Stańczyk /dając mu parasol/:
Naści, rządź!
Masz tu dokuceusz polski
Mąć nim wodę, mąć!
/wychodzi/
/Zygmunt Śmiały i Dziennikarz M.K. zostają sami i patrzą na siebie/

Zygmunt:
Znajoma figura.

Dziennikarz M.K.:
Ja jestem pański współpracownik
Pan odrzynasz z mego pisma słowo w słowo . . .

Zygmunt:
Gdzie?

Dziennikarz M.K.:
W "Camera obscura."



Zygmunt /poznał, syknął, wpadł w szał/:
Dziennik Polski.
Subwencja . . .
Szara Eminencja.
Fundusz Kultury,
Funty na bzdury,
A ja? A ja?
Mój biedny Kolin
Resztkami goni
Z.N. redaktor
Wciąż w listach tonie
To ja! To ja! To ja!
Czytaj pan!
Piszą z Afryki i z Ameryki
I z Teheranu i z Martyniki
I z Rio piszą i z Gwatemali
I z Kochinchiny—
A każdy chwali:
Z.N. cudowny,
Z.N. genialny,
Z.N. odważny,
Oryginalny,
Z.N. naprawia,
Z.N. strofuje . . .
A ja to wszystko sobie drukuję.
/wyciąga skrypty/
Następny numer mam już gotowy
Patrz pan: tu kwiatek Tuwima nowy
A jaki polski, a jaki nasz.
Niech się gdzieś schowa twój cały "Gwasz"

Posłuchaj pan:
"Na rogu Gęsiej, w mieście Łodzi
Smykom, pomykom motyl chodzi
Konwalie gniecie jak nekrofil
/Lubiał konwalie pan Teofil/
A tam naprzeciw u Grünberga
Coś się wybrzusza i wybierga
/Bo Grünberg lubiał znów rezedę/
I tak to było właśnie wtedy,
Gdy pierwsze śliwki tam, na Kaczej
/Pan Brzęczykowski przeinaczył/
I to dlatego rzekł: "Verfluchte"!
Do tej soczystej starej kuchty
/Julcia, ta stara, z jednym zębem/
Sypią się kłaki i otręby . . .

Dziennikarz M.K.:
Nic nie rozumiem, czuję mdłości.

Zygmunt:
Dowód wielkości.

Dziennikarz M.K.:
Mojej?

Zygmunt:
Tuwimowej.

Dziennikarz M.K.:
Poza tym, co pan dasz w następnym numerze?

Zygmunt:
Opowiem szczerze:
Pierwsza strona: ogłoszenie, że mi odebrali,
Druga strona: wykaz tego, czego mi nie dali,
Trzecia strona: nekrologi książek od Kolina,
Czwarta strona: że lotnicy, to moja rodzina,
Piąta strona: że oświata w wojsku pogrzebana,
Szósta, siódma: polemiki, ósma: proszę pana
To wierszyki, wieszczów słowa—po prostu: "Skarbnica"
I niech się pan już gotowym numerkiem zachwyca.

Dziennikarz M.K.:
Gdzież jest pamięć Twoja sławna
Dyrektora i aktora?
Zapomniałeś przecież o nim
Oto On—twój Wernyhora.
/Dziennikarz M.K. oddala się/
/Do Szopki wchodzi Zbigniew Wernyhora kronikarz polityczny z lirą w ręce i śpiewa na nutę pieśni dziadowskiej/

Zbigniew:
Tu przeglądy, tam kroniki—joj.
Przepowiadam wciąż wyniki—joj.
Tu posłyszę, tam coś chwycę—joj.
I już piszę moje szkice—joj.

Niedaleko od Kijowa—joj.
To pisałem, że połowa—joj.
A jak byli już w Kijowie—joj.
To pisałem po połowie—joj.

Jak na Krym szedł znów za nimi—joj.
To pisałem: są na Krymie—joj.
A jak poszedł pod Leningrad—joj
To pisałem: "No, kto wygra?"—joj.

Jak do Moskwy się zbliżali—joj
To pisałem: a co dalej?—joj.
Jak stanęli podczas zimy—joj.
To pisałem: "Zobaczymy"—joj.

Zygmunt:
Grabiec, Zbysio, Wernyhora
Dusza prosta, wieściom skora.

Zbigniew:
Trochę Verne—trochę chora.

Zygmunt:
Cóż tam panie w polityce
Chińczyki trzymają się mocno?

Zbigniew:
O Chińczykach obiecałem do "Polski Walczącej"
Panu mogę o Japonii—wieści druzgocące . . .
Mam też wolny ładny temat: "Kaukaz—znak pytania"
Albo inną rzecz pikantną: "U.S.A.—Finlandia"
Mogę również przepowiedzieć dokładnie, na oko,
Że się wojna ta zakończy w tym lub w innym roku.
Cóż chcesz jeszcze: Ural, Biegun, Tundry, Himalaje . . .
Ja o wszystkim ci napiszę,
A ile pan daje?

Zygmunt /owijając kieszeń togą cierpienia/:
Cóż ci dać mogę ja—pielgrzym ubogi,
Jestem mysz bez Kota—podstawili nogi,
M.I. Kolin /czytaj mi-Kolin/ to jest mój Hulewicz
/U mnie nawet honorarium nie bierze Mickiewicz/
Mogę dać ci dobre słowo, mogę dać natchnienia . . .
Ot, opowiem o Krakowie . . .
Z teatru wspomnienia:
Otóż kiedy Kotarbiński przyszedł do Knakego . . .

Zbigniew /przerażony/:
Może lepiej chodźmy panie razem na jednego.

Zygmunt:
Szalona młodości, nie mam ani pensa.

Zbigniew:
Ja mam kredyt.

Zygmunt:
Gdzie kolego?

Zbigniew:
Jeszcze u Rubensa.
/wychodzą/
/do Szopki wchodzi mistrz Rubens w stylowym berecie broni pancernej i w stroju szkoły flamandzkiej/



Mistrz Rubens /śpiewa na nutę piosenki: "Pan Generał"/:
Za zasługi me wiekowe
Dali zakład hotelowy.
W samym centrum tu w Londynie
Hotel Rubens—dernier cri.
W przedwojennych, dobrych czasach
U mnie spali na atłasach,
Z filiżanek złotych pili
Lordy—swoje "cup of tea."

Refren:
Diuki, lordy i princessy
Derby, miłość, dyplomacja, interesy
Wielka party, czy też tylko "tea for two,"
Wszystko załatwiali tu, w Rubensie,
Tylko tu.

Przyszła wojna, hotel wzięli
I Polakom wynajęli
W samym centrum, tu w Londynie
Hotel Rubens—z modą pas.
Teraz u mnie śpią w mundurach
Nie w atłasach, ale w biurach
Z filiżanek piją whisky,
Grzmi komenda: bigos raz!

Refren:
Generały, pułkowniki,
I majory, kapitany, poruczniki
Ruch, papierki, wojna nerwów—ile tchu.
Wszystko załatwiają tu, w Rubensie, tylko tu.
/krótki taniec: biega po schodach, wiodących do Szopki tam i z powrotem, rozrzuca papierki, salutuje, biegnie do bufetu na kieliszek, poczem patrzy na zegarek i wychodzi/
/Lord Stratton wchodzi dystyngowany i zimny śpiewając na nutę: "Ja jestem figurynka z porcelany"/

Lord Stratton:
Ja jestem dyplomata z porcelany
I posłannictwo moje znam.
Już na angielsko przefasonowany
Pozyskać dla nas Anglię mam, więc:
Ja się co dzień golę—tak jak oni
Chodzę z parasolem—tak jak oni,
Szczery—tak jak oni,
Sherry—tak jak oni,
Maniery—tak jak oni,
Śladem gonię
Jestem dumny sobie—tak jak oni,
Wszystko wolno robię—tak jak oni,
Że im rzednie mina, to nie moja wina,
Udam, że nie widzę, bo:
Ja jestem dyplomata z porcelany
I posłannictwo moje znam,
Już mam gotowe roczne lunchów plany,
Bo ja pozyskać Anglię mam.
/krótki taniec dokoła własnego parasola, kilka strzałów z butelki szampana, poczem bardzo wolno wychodzi dystyngowany, nieosiągalny, zapracowany/
/Chochoł, który do tej pory siedział spokojny wybucha tragicznym śmiechem/

Chochoł:
Raz dokoła, raz dokoła.
Kto mnie wołał, poco wołał?
/do Szopki wchodzi prof. Dokumentariusz Informacoński/

Profesor:
Co widzę? Chochoł z "Wesela"
Wolnyś synku?

Chochoł:
W Londynie, na biletingu.

Profesor:
Otóż to. Robota wojskowa,
Chochoła tutaj się chowa . . .
Wezmę cię do swego biura.
A co umiesz?

Chochoł:
Nic.

Profesor:
To bzdura.
Funtów mogę dać czterdzieści.

Chochoł:
Mogę sznurki z słomy pleść ci . . .

Profesor:
Będziesz plótł, co tylko wola.

Chochoł:
Hej! To dola. To swawola!

Profesor:
Tylko prędko "tak" mów szczerze,
Bo mi wojsko cię zabierze.

Chochoł:
Wojsko-cywil, jedna ręka
Być powinna, gdy nas nęka
Wspólny wróg.

Profesor:
A propos. Już w Szopki próg
Tu wstępuje major Blitzer
Zacznie się już moja męka.

Chochoł:
Dziwne rzeczy ja tu widzę.
/wchodzi major Blitzer/

Major:
Czołem, czołem, profesorze!

Profesor:
Ach majorze, cny majorze!

Major:
Czy przeszkadzam aby może?

Profesor:
Nie przeszkadza gość tak rzadki.

Major:
Pan tak szczery, pan tak gładki.

Profesor:
Co nowego tam u pana?



Major:
Sprawa Radia jest badana,
Będzie stacja wnet wojskowa.
Profesor:
Cha, cha, cha. Co, co? Radiowa?
Będzie, lecz cywilna nowa.
Major:
Będą stacje dwie wojskowe.
Profesor:
Będą trzy cywilne nowe.
Major:
Cztery stacje będę miał.
Profesor:
A ja pięć—jak będę chciał.
Chochoł:
Lecz na razie żadnej nie ma,
Nasze polskie anatema.
Cha, cha, cha, cha, cha, cha!

/Profesor i Major śpiewają na nutę: "Lata ptaszek"/

Profesor:
Lata ptaszek po Strattonie
Zbiera ludzi w jednym gronie.
Jak uzbiera, funty daje
A robota ciągle staje
/bis ile razy trzeba/
Lata ptaszek po Londynie
Propaganda moja słynie.
B.B.C. chce dać godzinę.
Poco męczyć tak rodzinę?
Major:
Lata ptaszek po Vandonie
Nowakowski gniewem płonie,
Pan profesor radio woli,
A ja sobie Conan Doyle.
Lata ptaszek po Rubensie,
Jak masz zdrowie no to pień się!
Każdy inną cierpi dolę,
A ja sobie Conan Doyle.

/Profesor i Major tańczą razem, przy czym nie mogą uzgodnić kroku, jeden drugiemu nadeptał na nogę w tańcu, skrzywieni boleśnie rozchodzą się w przeciwne strony/

/Chochoł siada smutny na progu Szopki. Zdaleka wykwita: "Groźny cień"—to zbliża się Psawery-Nervik Kruszyński/

Psawery:
/w historycznym stroju podchorążego z r. 1831, bęben przez plecy, bije werble alarmowe/

Podchorążowie! Komisarzowie!
Do pióra! do pióra! do pióra!
Celownik zero! Walić panowie!
Seriami przez kadry, przez biura!

Podchorążowie! Komisarzowie!
Pod Coëtquidan i Narvikiem
Ja zwyciężałem /jak sam spisałem/,
Wygrałem też z U. pułkownikiem.

Podchorążowie! Komisarzowie!
Słuchajcie werbla Czeczela,
Ja nie umarłem /jak to pisałem/,
Lecz dalej nauk udzielam.

Podchorążowie! Komisarzowie!
"Droga-zawiodła-przez Narwik"
I przez ten zawód, kto co mi powie
Ja w czarnej widzę dziś barwie.

Podchorążowie! Komisarzowie!
Za pióra, ołówki chwytajcie!
Niech zdjęcia robią generałowie . . .
Wy ze mną razem padajcie!

/Chochoł bije brawo/

Psawery /zobaczył Chochoła/:
Wy nasz? Podchorąży?
Ta sama niedola?
Chochoł:
Ja panie z pola,
Stamtąd jestem z pola.
Psawery:
Z Narviku?
Służyłeś pode mną?
Poznajesz bracie Czeczela?
Chochoł:
Dzielny żołnierzu pytasz daremno,
Ja Chochoł jestem z "Wesela."
Psawery:
Chochoł? Pisałem o tym.
"Wesele"? Wyspiański—pisałem.
Chochoł:
Walczyć nie mogłem, bo by się ze mnie
Słomy snopeczki sypały.
Psawery:
Słoma? Pisałem o tym.
Do "Wiadomości"
O snopach, o snobach—pisałem.
Chochoł:
Żołnierz uczony, jak z tego widzę—
Radość, że pana poznałem.
Psawery:
Żołnierz uczony?—Pisałem o tym,
Zgaszono oświaty kaganiec.
Chochoł:
Bo gdy jest wojna, to wszyscy idą
Warty ustawiać na szaniec.
Psawery:
Warta i szaniec?—pisałem o tym
Zamało jest szańców—pisałem.
Widzisz więc, widzisz, wszystko, co mogłem,
Na wyspie tej ratowałem.
Chochoł:
Ja biedny Chochoł nie przypuszczałem,
Że z taką rozmawiam dziś . . . szyszką . . .

Psawery /drgnął/:
Szyszko? Ach Szyszko! . . . I o tym także pisałem.
Bracie Chochole, pisałem!
Chochoł:
To chyba tobie dzielny wojaku
Nieliczne tematy zostały.
Psawery:
Został mi bęben, a moje werble
Na tysiąc mil słychać od prawdy.
Żeby czuwały wszystkie Czeczele . . .
Chochoł:
I bębnisz na alarm tak zawdy?
Psawery /rozpoczyna werbel/:
Posłuchaj bracie Chochole . . .
Chochoł /słucha/:
Ładnie to ładnie, ale coś . . . huczy
Za głośny, by zagrał w zespole.
Psawery /intymnie/:
Huczy mój bracie, bo . . . skóra gruba
Pod spodem pustka . . .
Chochoł:
Stąd dźwięk jak tuba . . .
Psawery:
Ale wystarczy, by popsuć zdrowie
Podchorążowie! Komisarzowie!

/uderza w werbel mocniej, Chochoł zaczyna tańczyć, słoma się sypie pod nogi Psawerego, który grzmiąc w bęben znika powoli w stronie wschodniej. Chochoł tańczy jak szalony w takt rozpoczętego werbla, jakby go jakieś złe opętało/



/Do Szopki wchodzą połączeni dwoma wywiadami Mikołaj Czyk i Bieleusz Tadecki/

Bieleusz /śpiewa na nutę: "My pierwsza brygada"/:
My pierwsza falanga
My tu pierwsza ranga,
Na los rzuciliśmy
Narodu głos,
bo mamy nos.

Czyk /śpiewa na nutę ludową/:
Nie chcę cię Tadziuniu, nie chcę cię,
Bo o tobie w Anglii mówią źle.
Że długo jechałeś,
W Szwajcarii gadałeś,
W Hiszpanii knowałeś,
I z Vichy motałeś
Oj nie, nie, nie!

Bieleusz /na nutę przebojową/:
Może znajdziesz innego
W deklaracji szerszego
W ordynacji—dla was w sam raz.
Ja mam czas, ja poczekam.
Anglia mnie nie zapomni,
W pismach piszą tu o mnie,
Skąd mnie znają tak—nie wiem sam.
Ja mam czas, ja poczekam.

Czyk /na nutę ludową/:
Koło mojego fotela,
Koło mojego fotela
Kandytów bardzo wiela.
Każdy z innej broni strzela . . .

Bieleusz /na nutę narodową/:
Hej strzelcy wraz
Przed nami fotel stoi,
A przeciw nam
Pracuje tylko czas.
Hej strzelcy wraz,
Więc niech się nikt nie boi
Fotel jest tam,
Brakuje tylko nas.
Więc trąb, więc trąb,
Na znaną nutę graj,
Więc kuj, więc rąb,
Oj fotel, fotel daj.

/następuje nasz wesoły taniec ludowo-narodowy/

/para tańczących znika w oparach mgły londyńskiej/

/Na horyzoncie wykwita nowa para: dwóch Antonich, schodzą się z przeciwnej strony: Antoni Wel-Sonimski i Antoni Cenzorsławski/

Sonimski /patrząc z ukosa chce udać, że nie widzi/:
Przeszedł, koma trzy . . .
Cenzorsławski /podobnież/:
Niech trwa.
Sonimski /spotkał się z nim przy wyjściu/:
Niech towarzysz się nie boi
Wolna droga.
Cenzorsławski:
Niekoniecznie. Wells tam stoi.
Sonimski:
Czy towarzysz z tej niziny
Ujrzysz człeka tak wielkiego?
Cenzorsławski:
Jak asana widzę dobrze,
Cóż może być trudniejszego?
Sonimski:
Ja to przy nim jestem pies,
Syn fabryczny P.P.S.
Patrz na mięśnie me, muskuły
Jam roboczy człek, nieczuły,
Towarzyszu skosztuj nędzy.
Siedź w Oxfordzie bez pieniędzy,
Skosztuj doli robotniczej,
Patrz na smagłe me oblicze . . .
To od—żaru "fajerplejsa."
Ale o te trudy mniejsza . . .
Myśl daleko . . . w Leningradzie
Z nimi tam, na barykadzie . . .
Z nimi braćmi czerwonymi
Krew się we mnie burzy, dymi . . .
Cenzorsławski:
Z tego dymu są opary
A z oparów zapach wionie
Dość wyraźny—mój Antoni.
Jak pułkownik słuchać mogę,
Jako cenzor czuję trwogę,
Bo, aczkolwiek pakt . . . i owszem . . .
Lecz szalejesz już potrosze.
Sonimski:
Puśćcie mnie na barykady!
Gdzie robotnik czeka blady.
Cenzorsławski:
Lepiej idź do "Robotnika"
Po wierszowe, do płatnika.
Sonimski:
Cenzor w randze pułkownika
Poniewiera "Robotnika,"
Wellsa krzywdzi, Wellsa tego
Przyjaciela gorącego,
Co o Polsce pięknie gada:
Nasza walka—pic, parada,
Że granice—lecz nie takie,
I że będą w ziemi braki,
I że Polska—to przyczyna . . .
Ach—ta przyjaźń to jedyna.
Cenzorsławski:
Stop! Nie puszczam dalej tego,
Poznaj raz Cenzorsławskiego!
Sonimski:
Pan to puszczasz tylko swoje
Bez cenzury wierszów zwoje.
Cenzorsławski:
Stop! Powstrzymaj się w zapale!
Skonfiskuję wszystko dalej.
Sonimski:
Gdy ci słowa drażnią duszę,
To zaśpiewać resztę muszę.
/śpiewa na nutę: "Ksiądz mi zakazował"/
Cenzor zakazował, byś nie fabrykował
Twych wierszy, twych wierszy . . .
Ale pułkownika, taka chęć przenika
Więc pisze, więc pisze.

Cenzorsławski /śpiewa na nutę ludową: "Służyłem u pana"/:
Służyłeś u Wellsa niejedno lato,
Co ci da, co ci da on kiedyś zato?
Czy książeczkę, czy wstążeczkę, czy też nową bajeczkę,
A ty jemu zato "cmoczkiera" odgrywaj przez całe lato.

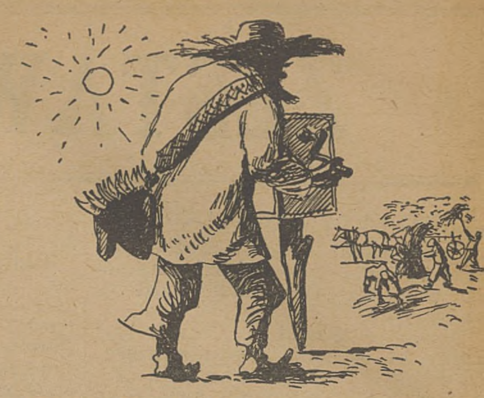
/biją się na piosenki i wiersze poczem znikają w powodzi własnych rymów/



Chochoł:
Para za parą! Raz dokoła!
Kto mnie wołał?
Poco wołał?

/wchodzi do Szopki Cyt-Mac-Broszurkiewicz z naręczem własnych broszur i z urną wyborczą/

Cyt /spostrzegłszy Chochoła podchodzi, nachyla się i mówi intymnie do ucha/:
Może broszurkę?
Zakazana, skonfiskowana . . .
Coś dla pana.
Pierwszy październik,
Pierwszy listopad,
Pierwszy grudzień . . .
Do wyboru . . . do koloru . . .
Ano dalej ludzie, ano dalej ludzie.
Chochoł /ogląda broszury/:
Co tu tego, co tu tego?
Cyt:
Zawsze piszę na pierwszego.
1 styczeń—kalendarzyk
1 luty—Ignacego,
1 marca—coś o . . . Kocie,
1 kwietnia—Prilus, prilus . . .
1 maja—o robocie . . .
Chochoł /przeglądając/:
A to wszystko w jakim stylu?
O czym piszesz, panie bracie?
Cyt:
"Czemu im się dziś nie płaci?"
O kartoflach i o zbiorach,



I o paktach, o wyborach,
"Ludzie, fakty, dokumenty"
Trochę pokrzyw, trochę mięty,
Wynurzenia do znużenia,
O Berezie są wspomnienia,
Kto nas uczy? Kto nas tłucze?,
Że wszystkiemu winien . . . Duce.
Potem trochę polemiki
Ideowej polityki,
Potem ładnie to drukuję . . .
Potem władza konfiskuje,
Każdy potem to kupuje, by dowiedzieć się: "A za co?"
I rodacy forsę tracą.
Chochoł:
O gorąca, polska ero! . . .
Cyt /nagle/:
Masz pan trochę gdzieś papieru?
Chochoł:
Słomę mam. To też wyciero.
Cyt:
Ach nie o to idzie panie,
Lecz o prawdy drukowanie,
Ja papieru chciałbyk mieć,
Ino oni nie chcą chcieć.
Demokrację rząd wypaczył:
Chcę ich rżnąć—i nie mam na czym . . .
Wszak powinni dać papieru,
Żeby poznać prawdę szczerą.
Chochoł /zatacza się jak pijany, objął głowę rękami/:
Prawda szczera, dziwne słowa
Czy ją w tej broszurze chowasz?
Od twych słów mnie pali głowa,
Dyć ty prawdę poniewierasz,
Aż mi duszę dech zapiera,
Prawda szczera, prawda szczera . . .
Cyt /oddala się nawołując intymnie/:
Może broszurkę? Zakazana,
Skonfiskowana. coś dla pana . . .

/Z góry zjeżdża po cienkiej nitce od kłębka aniołek ze skrzydełkami w mundurze porucznika "Polski Walczącej," ręce złożone na piersiach, wygląd zafrasowany—to Dymon Cierplecki. Nad nim wysoko na niebie gwiazdki i paski ostro mrugające/

Dymon /wpatrzony w gwiazdki śpiewa na nutę: "O gwiazdeczko"/:
O gwiazdeczki, gdy mrugacie
Rozumiemy się.
Wy coś w sobie gwiazdki macie,
Czarujecie mnie.
W tak gorącej teraz dobie
Romantyzmu brak,
Więc ja w gwiazdki patrzę sobie
I wciąż wiszę tak!

/Gwiazdki zniżają się z nieboskłonu tuż nad jego głową, on blady, zamyka oczy i wisi na cienkiej nitce pośrodku wielkiej Szopki/

/Wracają wszystkie postacie Szopki i wodzą się w zwadach i sporach, które przybierają formę bitki-tańcowania, typowego naszego tańcowania/

Dymon /śpiewa na nutę: Ojciec Wirgiliusz/:
Ojciec Cierplecki
Uczył dzieci swoje,
Dość kłótni ludzie,
Poco toczyć boje,
Cicho dzieci, cicho sza,
Róbcie to, co i ja,
Może gwiazdkę Bozia da,
La, la, la, la, la, la . . .

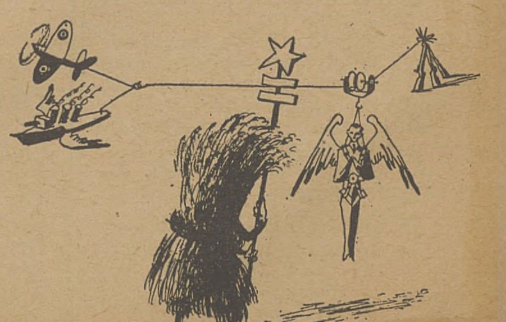
Ojciec Cierplecki patrzy spod powały
Jak się w tej szopce swary rohasały
I co z tego dziś kto ma?
Trzeba więc, tak jak ja,
Tak jest, baczność, cicho sza,
La, la, la, la, la, la.

/Chochoł bierze do rąk patyki i poczyna sobie, jak grajek-skrzypak. Daje się słyszeć muzyka usypiająca, leniwa. Bitka-tańcowanie trwa/

Chochoł /w takt się chyla, a przygrywa/:
Nic nie słysom, nic nie słysom—ino granie
Jakieś ich chyciło . . . pranie.
Miałeś bracie złoty swój,
Miałeś bracie własny grunt,
Złoty w innej kiesie,
Nerw dziś w każdym rwie się,
Ostał ci się ino, ostał ci się ino . . .
Funt.

/Koniec./

napisał Wiktor Budzyński
ozdobił Jerzy Faczyński



NASTĘPNY (NOWOROCZNY) NUMER "POLSKI WALCZĄCEJ" UKAŻE SIĘ Z DATĄ 5 STYCZNIA 1942 ROKU.

ZESTAWIENIE TREŚCI ZA ROK 1941

W Z.S.R.R.

Grobicki Jerzy: List z Rosji, 44.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R., 44.—Syzyf zwycięża, 47.—Hejnał krakowski nad Wołgą (Od własnego korespondenta), 51-52.
St. Sz.: S.O.S., 40.
Gen. Sikorski wśród żołnierzy polskich w Z.S.R.R., 51-52.

W KANADZIE

Kołek Józef: List z Kanady, 38.
Łużycówna Marta: Rosnące ziarna (Korespondencja własna), 51-52.
Terlecki Tymon: W przededniu nowej armii polskiej. Rozmowa z generałem Bronisławem Duchem, 18.
Walentynowicz Marian: Na północy Kanady (rysunki autora), 29.
Żywoń Edward: "Tu my som" (Rozmowa z Wiceprezesem Stanisławem Mikołajczykiem), 27.—Rośnie nowe wojsko polskie, 33.

POLSKIE TRADYCJE WOJSKOWE

Bogusławski Antoni: Dowborczycy, 3.—Na marginesie zjazdu kawaleryjskiego, 14.—Ze wschodu na zachód, z zachodu—do Polski, 25.
Karski Kasper: Zjazd żołnierzy formacyj wschodnich, 24.
Kozaryn Marek: Wojsko polskie przed Sejmem Wielkim, 17.
Mayer Stefan: Samodzielny oddział Murmański, 24.
M.K.: Polscy żołnierze w Egipcie przed stuleciem, 44.
Smereka Kazimierz: O pierwszej armii polskiej w Ameryce. Rozmowa z Generałem Józefem Hallerem, 18.
Wierzbiański Bolesław: Generałowie Polacy w armii Stanów Zjednoczonych (z 6 portretami), 18.
Zajączkowski Jerzy: Ojcowie nasi i my, 9.

PRASA WOJSKOWA

B.K.P.: Na własnym podwórku, 28.—Przegląd prasy obozowej, 32, 36, 37.—Jednodniówka spadochroniarzy, 41.
Czereśniewski Wawrzyniec: "Głos cekaemisty" pisze, 8.
L.W.: Z prasy żołnierskiej, 9, 10, 12, 18.
Ordęga Adam: Informator i "Przewodnik," 20.—Prasa polska na Bliskim Wschodzie, 24.—Pismo uczniów Szkoły Morskiej, 32.—Z prasy żołnierskiej ("Wiadomości ze Świata"), 14.
Szarzyński Stanisław: Jak robimy lotniczą gazetkę, 14.
"Lekarz Wojskowy," 37.

KSIĄŻKI O WOJNIE I WOJSKU

Bogusławski Antoni: Książka o kampanii wrześniowej, 13.
Dziewanowski Władysław: "Nad Wisłą i Wkrą," 25.
tt: Książka dwu żołnierzy, 3.

ROZKAZY, PRZEMÓWIENIA, LISTY OFICJALNE, WYWIADY

Prezydent R.P. Raczkiewicz Władysław: Rozkaz do żołnierzy polskich sił zbrojnych (24.XII.40), 1.
Wyjątek z mowy doktorskiej Prezydenta Raczkiewicza na Uniwersytecie w Edynburgu, 14.—Z mowy do Polonii Amerykańskiej, 18.
Naczelny Wódz Gen. Sikorski Władysław: Rozkazy: Rozkaz Noworoczny, 2.—Po śmierci Gen. Kleeberga, 24.—Po śmierci Ignacego Paderewskiego, 28.—Z okazji wręczenia sztandaru Lotnictwu Polskiemu, 29.—W dzień święta narodowego Jugosławii, 49.
Przemówienia i wyjątki z przemówień Gen. Sikorskiego: Do Kraju w dzień Nowego Roku, 2.—Na otwarciu Wyższej Szkoły Wojennej, 3.—Fragment z mowy doktorskiej na uniwersytecie w St. Andrews, 10.—Z przemówienia na Radzie Narodowej, 13.—Z przemówień w Ameryce, 18, 22-23.—Po powrocie z Ameryki w Radzie Narodowej, 24.—Po zawarciu układu polsko-rosyjskiego, 32.—Odezwa do Polonii, 36.—Z przemówienia do Polaków w Rosji, 39.
Wywiad specjalny dla "Polski Walczącej" po powrocie z Ameryki, 22-23.
Wyjątki z wywiadów: dla "Wiadomości Polskich," 6.—Dla "Sunday Express, 42.
Wymiana życzeń między gen. Sikorskim i ministrem Sinclairem, 1.
Dwie depesze N. Wodza do lotników, 44.
Winston Churchill: Wyjątki z przemówień, 9, 25.
Dowódca Brygady Karpackiej: Z polskiej audycji radiowej w Kairo, 43.
Hardinge Aleksander: List w imieniu Króla Jerzego VI do gen. Sikorskiego o polskich lotnikach, 7.
Korfanty Wojciech: Z mowy wygłoszonej w parlamencie niemieckim dnia 25 października 1918 roku, 12.
Mikołajczyk Stanisław: Wyjątek z przemówienia do kraju, 32.
Modelski Izydor: Przemówienie w wigilię Nowego Roku, 2.—Życzenia dla lotników, 30.
Paderewski Ignacy: Wyjątki z przemówień, 18.

ŻYCIE KRAJU POD OKUPACJĄ

Buczko Jan: Major Brzoza (Z walk partyzanckich), 20.
Junosza Józef: Dzień w Warszawie, 4.
Krzywda Lucjan: Wigilia w więzieniu Gestapo, 51-52.
Leskowiec Karol: Pomorze w roku 1941 (W oświetleniu prasy niemieckiej), 41.
Nagórski Zygmunt, jr.: Podziemny głos kraju, 41.
Ordęga Adam: Czarna godzina książki polskiej, 25.
Stokowska Maria: Dwie wigilie, 2.
Terlecki Tymon: Poezja podziemi, 37.
Waligórski Wiesław: Gdynia pod okupacją niemiecką: Obozy koncentracyjne, 19.—W szponach Gestapo, 20.—Martyrologia Polaków z Gdańska, 21.—Nie gorzej od Al Capone'a, 25.—Przymusowa ewakuacja ludności polskiej, 26.—Barbarzyńcy ścinają krzyże, 37.
Winiarski Wiktor: Broń szeptana, 1.
Zatorski Stanisław: Polska 1940: I. Jak się po niej podróżuje, 5.—II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy, 7.—III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją, 8.—IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne, 9.—V. Stosunek do okupantów, 10.—VI. Stosunki narodowościowe, 13.—VII. Masa chłopska wobec najeźdźcy, 15-16.—VIII. Kolonizacja niemiecka, 19.—IX. Sprawy kulturalne, 20.—X. Niemiecka propaganda, 21.
Z listów prywatnych (o niszczeniu książek w Polsce), 25.
Z okupacji sowieckiej: Artyści od godziny i od sztuki, 15-16.
Z ostatnich doniesień otrzymanych z okupacji niemieckiej, 17.
Z poezji konspiracyjnej, 17, 19, 33, 37.

POLACY W NIEWOLI I W OBOZACH INTERNOWANYCH

Kaczyński Zygmunt, X.: W złotej klatce (trochę wrażeń z odwiedzin II-ej Dywizji), 4.
Kriegsgefangener Nr. *:** Wigilia w Stalagu ***B, 51-52.
Ordęga Adam: Polacy w Szwajcarii, 8.—27.—(Praca samokształceniowa w obozach internowanych), 41.
Skalińska Maria: "Uniwersytet w Griazowcu" (Wywiad specjalny z profesorem Wacławem Komarnickim), 47.
List z Niemiec, 8.
Z poezji internowanych, 51-52.

POLONIA ZAGRANICZNA

Bożek Arka: Z Polonii Chicagowskiej, 18.
Drzewiecki Wacław: Polonia, 18.
Hełczyński Bronisław: Polonia Amerykańska a Wojsko Polskie na obczyźnie, 18.
Janowska Antonina: Podróż gen. Sikorskiego za ocean w zwierciedle prasy amerykańskiej (Prasa Kanady i Stanów Zjednoczonych), 22-23.
Janowski Aleksander: Po powrocie Naczelnego Wodza, 21.—Naczelny Wódz i Premier Polski w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, 22-23.
Kaczyński Zygmunt X.: Od słów do czynu, 22-23.
Kukiel Marian: Czego oczekuje żołnierz polski od Polonii Amerykańskiej, 18.
Muller Edwin: Pomyślność przez trud i pracę (przekład Mamrota Antoniego), 18.
Ordęga Adam: Co myślą i piszą Polacy w Ameryce, 11, 37, 39, 45, 50.—Wychodźstwo pracy i walki, 18.
Piekarski Bolesław, K.: Podróż Gen. Sikorskiego za ocean w zwierciedle prasy amerykańskiej (Prasa polska), 22-23.
Pomian Jerzy: Co myślą i piszą Polacy w Ameryce, 4.
Popiel Karol: Paderewski—duchowy wódz Polonii, 18.
Roskosz Jan: Polonia Amerykańska w roku 1917 i w roku 1941, 18.
Terlecki Tymon: Polska Walcząca przekroczyła ocean, 36.
Wierzbiański Bolesław: Generałowie Polacy w armii Stanów Zjednoczonych (z 6 portretami), 18.
Wójcik Władysław: Wieści od Polaków z Ameryki Południowej (Korespondencja własna), 28.—Co myśli wychodźstwo o Polsce jutrzejszej (Korespondencja własna), 32.
Zakrzewski Jan, W.: O Polsce i Polakach w Meksyku (Korespondencja własna), 32.
Listy zza mórz (z Meksyku, Chin Południowych, Nowej Zelandii, Wysp Filipińskich i Stanów Zjednoczonych), 51-52.
Listy zza oceanu, 33.
Naczelny Wódz o swojej p... do Ameryki (Wywiad specja... "Polski Walczącej"), 22-23.
Polonia pisze do żołnierzy, 18.
Pozdrowienia i życzenia od Polonii Amerykańskiej, 4.
Polska w Chile, 28.
Życzenia zza oceanów, 1.
Życzenia od Polonii zamorskiej, 2.
Żołnierze piszą do Polonii (Nierad Gustaw: List lotnika, Wciślicki Eugeniusz: List marynarza, Big George: List żołnierza armii lądowej), 18.

ŻYCIE EMIGRACJI POLITYCZNEJ

Boray Aleksander: Prasa walcząca, 45.
Przygodski Wojsław: Rada Narodowa, jej charakter i znaczenie, 13.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Polska nowego porządku, 13.
Przedstawiciele społeczeństwa wśród nas (Janowski Aleksander: Władysław Folkierski, Żywoń Edward: Herman Lieberman, Walczak Jan: Stanisław Mikołajczyk, Malski Ryszard: Karol Popiel), 13.
Rada Narodowa o Armii Polskiej, 17.

POLSKIE DĄŻENIA I CELE WOJENNE

Doddies Andrzej: Brytyjsko-polska przyszłość Bałtyku: I. Polska powersalska i przyszła Polska na morzu, 44.—II. Nauka z wyprawy, która nie doszła do skutku, 46.—III. Braterstwo walki i wspólnota interesów, 47.
Graham Alan, C.: Czy Polska obchodzi Wielką Brytanię (Przekład Janowskiej Antoniny), 48.
Kwiatkowski Michał: Nauka plebiscytu, 12.
Krzyżanowski Urban: Polak został marynarzem, 26.
Możdżeński Leonard: Nasza praca na morzu, 26.
Lenczowski Franciszek: Prawa Polski do Prus Wschodnich, 5.—Nasze prawa do Gdańska, 6.
Nagórski Zygmunt: Polonia w Ameryce a przyszła Polska, 18.
Mora Kazimierz: Nasz związek z morzem, 6.
Ordęga Adam: "Jaka Ona będzie," 20.
Pawłowicz Bohdan: Trzeba widzieć, pamiętać i nauczyć się, 26.
Popiel Karol: Polskich celów wojennych, nr. 1, 31.
Smogorzewski Kazimierz: Porty polskie po tej wojnie, 26.
Strasburger Henryk: Morze w gospodarce narodowej, 25.
Zob. artykuły w dziale: "Marynarka."

WIEDZA O ANGLII

Bzowiecki Alfred: Od peruki do battle-dress'u, 8.—Współczesny oficer angielski, 11.
Grabowski Zbigniew: Korona—symbol jedności, 11.—Żołnierz angielski słucha o Polsce, 27.
Graham Alan, C.: Czy Polska obchodzi Wielką Brytanię (przekład Janowskiej Antoniny), 48.
Jawnuta Antoni: O Anglii i Anglikach, 4, 5, 7, 8, 15-16, 20, 27, 40, 43.
Jeśman Czesław: Poprzednik Wavella, 15-16.
Krotowski Mieczysław: Dżentelman, 15-16.
Krzemicka Maria: Królewska demokracja, 11.
Mamrot Antoni: Jeszcze jeden wyskok, 47.
Meyer Leszek: Społeczeństwo brytyjskie, 11.
Morawski Krzysztof: "Channel Islands," 9.
Oppman Edmund: Wspólne dążności ustrojowe Polski i Anglii, 11.
Pawłowicz Bohdan: Potęga morska Wielkiej Brytanii I., 36.—II., 37.
Prozor Michał: Król i imperium brytyjskie, 11.—Cenne ostrzeżenie, 33.
Rawicz Stefan: Polsko-brytyjskie braterstwo na morzu, 37.
Słonimski Antoni: Chleb i uśmiech, 1.
Sokołów Florian: Monarchia brytyjska, 11.—Sir Archibald Wavell, 46.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Prawica króla i serce królowej, 11.
Szczerbic Dominik: Mowy Churchilla, 21.—Żywot Churchilla, 22-23.—Churchill idzie od wojny do wojny, 25.—"You can help to build me a gun," 48.
Szerer Mieczysław: Królewskość dawniej i dziś, 11.
Uczestnik: W gościnie angielskiej, 2.
Wasilewski Antoni: Tomek—Polish friend, 40.
W.L.: Żołnierze polscy w prasie brytyjskiej, 17.
Akt solidarności, 4.
List od angielskich przyjaciół, 13.
List lotnika angielskiego do matki, 8.
... 50.
J.A... dziec...
Piek... Edynbu... ni," 50.
Sikorski ... dla Szkotów, 2...
Strumph-Wojt... Mundur okryty t...
Tyśmienicki Lu... sytecie w Edynburg...
Żywoń Edward: ... jaźni," 15-16.
Zob. szereg artykułów w dzial... "Armia lądowa" i "Wiedza o Anglii."

POLSKA I CZECHOSŁOWACJA

A. Bg.: Sokół czechosłowacki w wojsku, 29.
Koutnik V.: Do redaktora "Polski Walczącej," 3.
Kożusznik Bogusław: Prawda zwycięży, 43.
Miszewski Jan: Polsko-czeskie stosunki kulturalne w XIX-ym wieku I, 19; II, 20; III, 21; IV, 37; V, 38.
N: Bitwa pod Zborowem (1917—2.VII.—1941), 29.
Ostrawski Adam: Święto armii czechosłowackiej, 10.
Rembieliński Jan: Krok ku zwycięstwu, 3.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Jak jest naprawdę z Czechosłowakami, 7.
S.Z.: Winston Churchill wśród Czechosłowaków, 19.
Szczepanowski Stanisław, Wiktor: Czeskie wspomnienia, 7.
Terlecki Tymon: Budowanie braterstwa, 3.
Zat: Z prasy czechosłowackiej, 27.
Zatorski Stanisław: Prasa czechosłowacka w Anglii, 22-23.
Do czeskich żołnierzy w dniu czechosłowackiego święta niepodległości, 43.
Koleżeństwo broni, 21.
Święto Czechosłowaków, 3.
Zbratanie armii Polski i Czechosłowacji, 7.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Brodt Jakób: B.P. Pikman Stanisław, 10.
Kaczyński Zygmunt, X.: Genius Patriae (o Paderewskim), 28.
Kolega: Ś.p. Major-pilot Antoni Woroniecki, 27.
Modelski Izydor: Ś.p. Kazimierz Stefczyk, 20.—"Ignacy Paderewski dobrze zasłużył się ojczyźnie," 28.
Popiel Karol: Nad trumną żołnierza Wolności (o Hermanie Liebermanie), 44.
Śmigielski Tadeusz: Ś.p. gen. bryg. Franciszek Kleeberg, 24.
Sulerzycki Henryk i Doddies Andrzej: Ś.p. kapitan Wiktor Brummer, 50.
Szerer Mieczysław: Zmarli Leon Berenson i Stanisław Thugutt, 49.
Terlecki Tymon: Po śmierci Paderewskiego, 27.

WIERSZE I PIEŚNI

Antyk: sztychem, 1, 2, 3, 4, 5, 7, 8, 12, 13.
Baliński Stanisław: Ojczyzna Szopena (zdobił Stefan Osiecki), 1.—Wojna bez pieśni, 4.
Bogusławski Antoni: Dziecinna pastorałka o starym Mrozie, 1.—Tam, 4.—Polskie morze, 6.—Z pieśni poświęconych "Czarnej Brygadzie," 9.—Worcell w Londynie, 17.—Od zachodniej strony, 18.—Czechom, 20.—Prosty dialog, 35.—Świt na zgorzelisku, 50.
Brzozowski Jerzy: List do rodziców. List do syna. List do żony (z poezji internowanych), 51-52.
Budzyński Wiktor: Lotnikom, 30.—Wrzesień, 40.—Szopka bezblackout'owa, 51-52.
Czereśniewski Wawrzyniec: Kiedy płonęły w Warszawie kościoły, 35.
Gilewski Roman: Czołgi jadą—wolna droga (piosenka), 50.
Kasprowicz Jan: Z "Księgi ubogich," 45.
Kisielewski W.A.J. i Kornacki St.: Dalej bracia na przód marsz. (pieśń z nutami), 29.
Korczak Ewa: Czy pamiętasz, 41.
Kowalski Adam: Miałeś, chamie, złoty róg, 31.—Od Kłajpedy do Szczecina. Pieśń marynarzy (tekst i muzyka), 6.—Wieniec dla Warszawy (zdobił Artur Horowicz), 31.—Nieśpiewana kolęda (zdobił Osiecki Stefan), 51-52.
Ligocki Edward: Melodie nocy szkockich, 7.—Melodie szkockie (I, Abbots House; II. Ketling), 15-16.—Paderewski w Paryżu, 28.
Lisiewicz Mieczysław: Powstańcy, 9.
... 37.
Szen... (z poezji...
Teslar J... King" (przek...
Tomasz: Rapo... w Wawrze (Opowi... ca). 20 czerwca 194... "Antologii poezji współcze... danej konspiracyjnie w kraju...
Tuwim Irena: O Nieznanym ... i Nieznanej Godzinie, 49.
Wedow Janusz: List do matki. Modlitwa (wiersze z Rosji), 47.
Wieszczek Józef: Na góralską nutę (Ojczyzna. To nie nase), 46.
Wojtecki Wojciech: Marsz Brygady Karpackiej, 43.
"Wojtek": Krakowiak o Niemcach, 25.
Wysocki Józef: List do szkockiego przyjaciela, 47.
Zasuszanka Aleksandra: Marsz lotników. Według melodii marsza kosynierów z roku 1794 (muzykę opracował Latwis Stanisław), 18.
Edynburg (cykl wierszy), 8.
Hymn ("God Save the King") zob. Teslar.
Marsz, marsz Sikorski . . . (Pieśń z kraju), 17.
Pieśń ochotników z Argentyny, 44.
Pieśń wysiedleńców z Poznańskiego, 19.

PROZA ARTYSTYCZNA

Kuncewiczowa Maria: "Wszystko w porządku," 1.—Edek, 6.—Franciszki (zdobiła Konarska Janina), 15-16.—Polskie żarna, 51-52.
Żeromski Stefan: Z "wiatru od morza," 6.
Słonimski Antoni: Chleb i uśmiech, 1.

FELIETONY—PROZA HUMORYSTYCZNA

Bill: Hymen, bóg małżeński, w szkockie kratkie, 31.
Brzezina Jacek: Auto-stopem (zdobił Tadeusz Lipski), 1.
Budzyński Wiktor: Argentyńczyk z Łyczakowa, 44.—Bez black-outu, 39, 41, 42, 43, 45, 46, 47, 48, 49, 50.
Laskowska Amelia: Felieton o chórach, 1.—Leć pieśni w dal . . ., 29.
Piekarski Bolesław, K.: "Lang may your lum reek," 1.—"Tiejdż" (rysunek autora), 40.
Porucznik Herbert: Pryszczyk wieje, 44.
Stojek Józef: Nasze jajko wielkanocne (rysunki i teksty), 15-16.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Felieton uczuciowy, 25.
Szajna-Stańkowski Zbigniew: Jesień, 49.
Wasilewski Antoni: "Two kanapkis" (rysunki autora), 1.

RYSUNKI

Andriolli Elwir: Święcone. Procesja rezurekcyjna, 15-16.
Faczyński Jerzy: Jak robimy lotniczą gazetkę (4 rys.), 14.—Rysunki satyryczne, 21, 22-23, 29.—(3 rys.), 30.—(2 rys.), 32.—(2 rys.), 35.—(2 rys.), 37.—Strzelcy (drzeworyt), 39.—Mr. Priestley z Home Guard na Holiday'u, 40.—Rysunki do "Szopki" Budzyńskiego (7 rys.), 51-52.
Horowicz Artur: W Polsce, 4.—Plakat, 5, 9.—Walka w powietrzu, 8.—Przed odlotem, 9.—Z życia lotników (2 rys.), 20.—Nie zapomnimy (plakat), 38.—Plakat, 42.—Bomby z Wellingtona, 42.
Kopczyńska Krystyna: Ozdobnik, 1.—Polskie zwyczaje wigilijne (3 rys.), 51-52.
Lipski Tadeusz: Ozdobniki, 1, 2, 6, 11, 17, 18, 26, 36, 43, 45, 50, 51-52.—Plakat wystawy fotografii nadesłanych na konkurs "Polski Walczącej," 38.
Osiecki Stefan: Ozdobnik do wiersza Balińskiego, 1.—Do wiersza Kowalskiego, 51-52.
Paprotny Ignacy Jan: Chmurna młodość (drzeworyt), 47.
Rościszewski Jan (Tom Titt): Karykatury (Woodrow Wilson. Franklin D. Roosevelt. Ignacy Paderewski), 18.—Generał Wavell, 15-16.—Lord Gort, 21.

ZESTAWIENIE

...are" ...obozo-

...z 1

...go do Pola-

...Walcząca w ...ek), 36.

...ca "Gońca Obozo-...wą gen. Prugara-...awach samokształce-...

Ku wolnej Polsce—Pismo Brygady Strzelców Karpackich" (nagłówek), 43.

Podobizna medalika wykonanego przez jeńca polskiego w Rosji, 44.

Program matchu rozegranego przez B.S.K. w Egipcie, 46.

"W marszu" (reprodukcja gazetki ściennej 5 Dywizji Piechoty w Rosji), 47.

"Ogniwo Przyjaźni," Karta tytułowa rocznika, 50.

Znaczki propagandowe wydane przez Wydział Kulturalny I.P.S.P., 50.

"Kierowca w Tobruku" (nagłówek 1-go numeru), 51-52.

...e i ... rysunek ...skiego, 1.— ...e, 7, 10, 11, 13, ..., 46.—W pogoto-... ...ków z St. Andrews, ... rysunki z "Dziennika ...wego," 1.

DOKUMENTY

Autograf gen. Fleischera dla "Polski Walczącej," 1.

Transkrypcja fonetyczna "Mazurka Dąbrowskiego" dla Szkotów (Śliwiński Jan), 1.

Autograf wice-admirała J. Świrskiego do numeru morskiego, 6.

"Goniec Obozowy" — "Wiadomości dla internowanych" (nagłówek), 8, 27.

"Powstaniec"—Organ Wydziału Prasowego Naczelnego Dowództwa Wojsk Powstańczych Górnego Śląska (nagłówek), 12.

Trzy ustępy z brulionu odezwy Wojciecha Korfantego do Ślązaków, 12.

"Nowiny Codzienne" (nagłówek numeru trzeciomajowego 1940), 17.

Autograf amb. Biddle dla "Polski Walczącej," 18.

"Gazetka obozowa—pismo żołnierzy Ośrodka Zapasowego B.S.K." (nagłówek). "Biuletyn informacyjny polskich uchodźców wojennych na Bl. Wschodzie (nagłówek). "Nasze Drogi—dwutygodnik Sam. Bryg. Strzelców Karpackich" (nagłówek), 24.

Rozporządzenie okupantów o ewakuacji ludności polskiej z Gdyni (podobizna plakatu), 26.

MAPY

Libia, 3.—Zasięg niemieckich łodzi podwodnych, 4.—Prusy Wschodnie, 5.—Dolny bieg i ujście Wisły z Gdańskiem, 6.—Strategiczne ewentualności ataku Hitlera, 7.—Bałkany, 8.—Afrykański front wojenny, 8.—Channel Islands, 9.—Bałkany, 15-16.—Irak, 19.—Gibraltar, 21.—Syria, Irak, Persja, 22-23.—Syria i Turcja, 27.—Daleki Wschód, 31, 50.

Szkic kampanii włoskiej w Abisynii, 22-23.—Szkic działań Grupy Poleskiej, 41.

FOTOGRAFIE

Polska 1918-1939: Kępa Oksywska, 6.—Grupa Powstańców Śląskich, 12.—Gdynia (7 fot.), 26.—Okręty polskie na Redzie Oksywskiej (2 fot.), 35.

Kampania polska: Jazdowski Oskar: Wrzesień 1939 (Trzecie odznaczenie na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej," 8 fot.), 35.—Rany Warszawy, 35.—Garwolin po bombardowaniu, 38.

Kampania norweska: 21.

Kampania francuska: Rusiecki Ryszard: Z wieży czołga (Trzecia nagroda na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej," 11 fot.), 39.

...tnictwo Polskie: Fotografia bombowca niemieckiego strąconego przez polskiego mechanika w Belgii, 14.—Samolot Dywizjonu 303, 18.—Załoga jednego z dywizjonów myśliwskich, 19.—Balon, 28.—Święto lotnictwa (4 fot.), 30.—Życie lotników (7 fot.), 30.—"Bombardierzy" (2 fot.), 33.—Myśliwcy (2 fot.), 38.—Lotnicy polscy w Afryce (8 fot.), 42.—Postrzelony samolot myśliwski (2 fot.), 48.

Polska Marynarka Wojenna i Flota Handlowa: Życie i walki polskiej Marynarki Wojennej (14 fot.), 6.—Polski kontrtorpedowiec (4 fot.), 17.—Z "Wilka," 18.—Ścigacz, 21.—Z walk, 22-23.—"Pułaski" i "Batory" (2 fot.), 26.—Kadeci Floty Handlowej (5 fot.), 26, (4 fot.), 32.—Prezydent R.P. u marynarzy Floty Handlowej, 26.—Okręt podwodny (5 fot.), 29.—"Piorun," 37.—Szkoła Podch. Marynarki Wojennej (5 fot.), 38.—Z walk morskich, 45.—Polskie bandery, 47.—Marynarz okrętu wojennego, 49.

Wojsko lądowe w Wielkiej Brytanii: Z wizyty gen. Brooke'a i gen. Fleischera (5 fot.), 1.—Z wigilii w obozach (4 fot.), 2.—Jan Olgierd Bożenko: Wystawa Walentynowicza, 5.—Z pobytu pary królewskiej wśród wojsk Polsk. w Szkocji (6 fot.), 7.—Z promocji honorowej gen. Sikorskiego w Uniwersytecie w St. Andrews (5 fot.), 10.—Z pobytu Rady Narodowej w wojsku (9 fot.), 13.—Z wizyty Prezydenta i Amb. Biddle w Armii Lądowej, Lotnictwie i Marynarce (12 fot.), 18.—Wielkanoc, 19.—Lektura na odcinku, 21.—Z wystawy polskich malarzy w Edynburgu (9 fot.: M. Gleb-Kratochwil, J. Walker, E. Chyliński, T. Koper, Z Celarski, T. Sieczkowski, A. Żyw, Z. Haupt), 25.—Lwowska Fala (3 fot.), 25.—29.—"Nowiny" w polu (3 fot.), 31.—I Brygada Strzelców (3 fot.), 31.—Defilada, 31.—Święcicki Lubomir, St.: "Przebieg mojej służby w Szkocji" (Pierwsza nagroda na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej," 9 fot.), 32.—"Dzień książki" wśród wojska (5 fot.), 32.—Arnolt Waldemar: "Polska w Szkocji" (Druga nagroda na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej," 7 fot.), 33.—Gen. Sikorski w Szkocji (2 fot.), 33.—Ochotnicy z Ameryki Południowej (4 fot.), 36.—Wystawa Antoniego Wasilewskiego, 37.—Król Jugosłowian w Szkocji (5 fot.), 39.—Bożenko Jan, Olgierd: Życie sapera (Czwarta nagroda na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej," 11 fot.), 40.—Spadochroniarze (6 fot.), 41.—16-y Dywizjon Artylerii Motorowej (3 fot.), 42.—Wyróżnienie fotografa-żołnierza, 43.—Żniwa (3 fot.), 43.—Przysięga pancernych, 44.—Mozaika ofiarowana miastu St. Andrews (3 fot.), Studenci w St. Andrews, 46.—Zaduszki (2 fot.), Match Polska-Belgia, 47.—Jugosłowianie w naszych szeregach (2 fot.), 49.

Brygada Strzelców Karpackich: Na froncie libijskim (13 fot.), 43.—Z życia Brygady, 45.—Burza piaskowa, 46.—Z podróży gen. Sikorskiego na Bliski Wschód (2 fot.), 50.—Polacy w Tobruku (2 fot.), 51-52.

Z. S. R. R.: Pierwszy przegląd, 44.—Siedziba sztabu Armii (2 fot.), 51-52.

Kanada: Obóz w Windsor, 27.—Obóz w Windsor (4 fot.), 33.—Przyjazd misji gen. Ducha (4 fot.), 38.—Obóz w Owen Sound, 51-52.—Marynarze w Windsorze, 51-52.

Polonia Zagraniczna: Gen. Sikorski w Ameryce (15 fot.), 22-23.—Z książki Krystyny Duda-Dziewierz: "Wieś małopolska a emigracja amerykańska" (3 fot.), 18.—Z życia internowanych w Szwajcarii (3 fot.), 51-52.

Z życia emigracji: Gen. Sikorski przed Radą Narodową, 24.—P.C.K. (6 fot.), 25.—Z życia i działań Paderewskiego (10 fot.), 28.—Herman Lieberman (3 fot.), 44.

Wielka Brytania: Jak brytyjscy koledzy obchodzili Święta (6 fot.), 3.—Osiecki Stefan: Nasi towarzysze broni (15 fot., fotomontaż), 15-16.—Bombowiec "Harrow," 20.—Churchill (2 fot.), 21, 22-23.—Schematy i fotografie okrętów brytyjskich (25 fot.), 36.—Flagi i okręty brytyjskie (15 fot.), 37.—Marsz. Portal, 37.—T. Neal i Klub angielsko-polski w Bradford (3 fot.), 40.—Wavell, 46.

Czechosłowacja: Z pobytu gen. Sikorskiego u Czechosłowaków i dekoracji oficerów czechosłowackich (5 fot.), 7.—Winston Churchill wśród Czechosłowaków (2 fot.), 19.—Gen. Prchala, 37.—Match Polska-Czechy, 42.

Konkurs Fotograficzny "Polski Walczącej" (warunki), 15-16, 18.—Wyszczególnienie nadesłanych prac, 28.—Rozstrzygnięcie, 29.—I-a nagroda, 32; II-a nagroda, 33; III-a nagroda, 39.—IV-a nagroda, 40.

NUMERY SPECJALNE

Numer poświęcony Polskiej Marynarce Wojennej (12 str.), 6.—Zob. Po numerze morskim "Polski Walczącej" (listy wice-admirała Świrskiego do gen. Modelskiego i red. Terleckiego), 9.

Numer z okazji pobytu Brytyjskiej Pary Królewskiej wśród Polskiego Wojska w Szkocji (9 str.), 11.

Numer w dwudziestą rocznicę plebiscytu i trzeciego powstania śląskiego (7 str.), 12.

Gościna pism Pierwszej Brygady Strzelców: "Odwet" i "Nowiny" (4 str.) 31.

Numer z okazji wizyty członków Rady Narodowej wśród wojska (5 str.), 13.

Numer w stopięćdziesiątą rocznicę Konstytucji 3-go Maja (4 str.), 17.

Numer amerykański przeznaczony na Zjazd Rady Polonii (16 str.), 18.—zob. Echo numeru amerykańskiego "Polski Walczącej" (list Kazimierza Głuchowskiego w imieniu Stowarzyszenia Wydawców i Dziennikarzy Polskich w Ameryce), 32.

Numer z okazji pobytu gen. Sikorskiego w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie (6 str.), 22-23.

Numer poświęcony Polskiej Flocie Handlowej (11 str.), 26.

Numer poświęcony Lotnictwu Polskiemu z okazji wręczenia sztandaru (7 str.), 30.

Numer w drugą rocznicę kampanii wrześniowej (6 str.), 35.

OD REDAKCJI

Przeciw demagogii, 10.—Alleluja, 15-16.—Przedsłowie do numeru amerykańskiego, 18.—Po roku, 29.—Śp. Kapitan Wiktor Brummer, 50.

Terlecki Tymon: List do wszystkich, 4.—Droga przez morze, 6.—W stronę Śląska, 12.—"Wiadomości ze Świata" (Gościna w "Polsce Walczącej"), 14.—Przedsłowie do numeru poświęconego polskiej Flocie Handlowej, 26.—Do korespondentów P. Mackiewicza, 50.

SKRZYNKA POCZTOWA

Skrzynka pocztowa: 5, 7, 8 (echa numeru morskiego), 9, 10, 11, 12, 13, 20, 21, 22-23, 32, 33 (Listy zza oceanu), 38, 40, 41, 42, 43, 45, 49, 50.

Inicjatorzy subskrypcji książki "Ziemia gromadzi prochy": W sprawie wydania książki J. Kisielewskiego "Ziemia gromadzi prochy," 19.

POSZUKIWANIA

19, 21, 27, 29, 36, 45.

Redaktor:
TYMON TERLECKI

SPIS RZECZY

Tymon Terlecki: Trzecia wigilia.—*Adam Kowalski*: Nieśpiewana kolęda /zdobił *Stefan Osiecki*/.—*Lucjan Krzywda*: Wigilia w więzieniu Gestapo. — *Kriegsgefangener****: Wigilia w Stalagu***B.—Z poezji internowanych: /*Feliks Szelewicki*: Tułacza wigilia.—*Jerzy Brzozowski*: List do syna. List do rodziców. List do żony./.—*Stanisław Strumph-Wojtkiewicz*: Hejnał krakowski nad Wołgą /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/.—Generał Sikorski wśród żołnierzy polskich w Z.S.R.R.—*Sta*: Polacy w Tobruku.—List z Tobruku.—*Marta Łużycówna*: Rosnące ziarna /Korespondencja własna z Kanady/.—Listy zza mórz /Z Meksyku. Z Chin Południowych. Z Nowej Zelandii. Z Wysp Filipińskich. Ze Stanów Zjednoczonych/.—*Maria Kuncewiczowa*: Polskie żarna. — *Krystyna Kopczyńska*: Polskie zwyczaje wigilijne /3 rysunki/.—*Eugeniusz Hinterhoff*: Na frontach.—*Czesław Poznański*: Jedna wojna.—*Bohdan Pawłowicz*: Wojna na morzu.—*Wiktor Budzyński*: Szopka bezblack-outowa. /zdobił *Jerzy Faczyński*/.—Zestawienie treści za rok 1941.—Ozdobniki *Tadeusza Lipskiego*.—Rysunki.—Fotografie.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.